

ZNAD WILNI



TYGODNIK

Rok VI, nr 22 (127)

Wilno, 3 października 1994

cena 40 ct.
(5000 zł., indeks 383678)

W numerze:

- Trzeba umieć samemu wyciągnąć rękę - s. 2
- Transylwania - „ziemia za lasem” - s. 2
- Rozmowa z ambasadorem RL w Polsce - s. 3
- Kto ocalił Uniwersytet Wileński - s. 4
- Wacław Korabiewicz „Kilometr” - s. 5
- Towarzystwo „Oświata” w Poniewieżu - s. 6
- Rodaczka z Moskwy o Polsce - s. 7
- Wilno, moja miłość... - s. 7
- Twój Przystanek Alaska - s. 8

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

• Prezydent RL Algirdas Brazauskas gościł z czterodniową wizytą w Niemczech. Spotkał się z prezydentem R. Herzogiem, ministrem spraw zagranicznych K. Kinkel, bankowcami, przemysłowcami, przedsiębiorcami.

• Od 28 września prezydent Litwy przebywał z pięciodniową wizytą w USA.

• 28 września o godz. 0.24 min zatonął prom „Estonia”. Zginęło ponad 800 osób, w tym 500 Szwedów. Do Sztokholmu płynęło co najmniej 6 obywateli Litwy, zdołano uratować Artūrasa Tamašauską.

• 19 września w Moskwie między Litwą i Gruzją zawarto umowę o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych. Jest to 97 państwo, z którym Litwa zawarła podobne porozumienie.

• 22 września ze stanowiska prezesa frakcji polskiej w Sejmie RL ustąpił Ryszard Maciejkaniec. Na prezesa obrano Zbigniewa Siemienowicza.

• 23 września w 51 rocznicę holocaustu Żydów na Litwie, odbyły się uroczystości żałobne w Ponarach. Premier RL A. Šleževičius wystąpił z oświadczeniem, potępiając Litwinów uczestniczących w ludobójstwie narodu żydowskiego.

• Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju na rozwój kolei litewskich wyasygnował 18,9 mln USD.

• W sierpniu przemysł litewski dał o 2,4 proc. produkcji mniej niż w lipcu. Zmniejszył się eksport produkcji litewskiej na Zachód i do krajów b. ZSRR.

• Od początku roku na Gieldzie Pracy w Wilnie zarejestrowano 518 nieletnich poszukujących pracy. Większość z nich to młodzież z „małą maturą”.

• Od 1 października minimum socjalne będzie wynosiło 55 Lt (ok. 14 USD). Minimalne uposażenie wyniesie 65 Lt, minimalne wynagrodzenie godzinowe - 0,38 Lt. Pobory pracowników sfery budżetowej wzrosną średnio o 12 proc. Emerytury, stypendia i różnego rodzaju zasiłki wzrosną o 10 proc.

• Do czynnej służby wojskowej zamierza się powołać 3000 osób. Za zwłokę grozi kara pieniężna do 1000 Lt, za uchylanie się od służby - do 3 lat więzienia. Dającym łapówki w celu uniknięcia służby grozi pozbawienie wolności na okres 5 lat.

• 24 września pochodem rozpoczętym na Górze Zamkowej zaangrurowano wielkie Święto Giedyminowe. Na skrzyżowaniu ulic Zamkowej i Wielkiej, gdzie przed wiekami była świątynia pogańska, złożono stary kamień ofiarny.

• W Wilnie jest zaledwie 278 prywatnych autobusów. Najbardziej popularna trasa - na bazar do Gariūnai.

• 29 szkół pomaturalnych - czyli 19 proc. ogólnej ilości takich placówek - to szkoły prywatne, posiadające licencję Ministerstwa Oświaty i Nauki.

• W środy wstęp do państwowych muzeów na Litwie jest bezpłatny. W inne dni uczniowie, studenci i wojskowi mają 50 proc. zniżki. Inwalidzi, wychowankowie domów dziecka i przedszkolacy są całkowicie zwolnieni od opłaty wstępnej.

• Loreta Brusokaite „Miss Uniwersum Litwy '93”, pierwsza wicemiss Litwy '93 bierze udział w odbywającym się w Stambule konkursie o tytuł „Miss Europa”.

• Od 28 września do 2 października w hotelu „Karolina” odbywa się II show piwoszy. Podczas pierwszej imprezy wypito 12870 litrów piwa.

• Na miejscu byłej kawiarni „Akimirka” („Mgnienie”) otwarto nowy lokal o intrygującej nazwie „Szczęście pań”.

• Według danych statystycznych na Litwie kobiet jest o 200 tys. więcej niż mężczyzn. Na 1000 mężczyzn przypada 1114 kobiet.

• Śmiertelność noworodków w porównaniu z rokiem ub. w pierwszym półroczu br. zmniejszyła się o 2 proc. Jednak przyrost naturalny zmniejszył się o 10,4 proc.

• W ubiegłym roku na Litwie było 11,134 chorych na raka. Mężczyźni chorują przeważnie na raka płuca i prostaty, kobiety - piersi oraz skóry.

• Litewskie Centrum AIDS przy poparciu Światowej Organizacji Zdrowia zorganizowało na Litwie akcję „Tydzień bezpiecznej miłości”. Akcję zakończono dwudniową konferencją „Rola prezerwatywy w profilaktyce AIDS i innych chorób szerzących się drogą płciową”.



POWRÓT STEFANA BATOREGO NA UNIWERSYTET WILEŃSKI

Stał się możliwy po latach milczenia o tym, kogo imię nosiła Wileńska Wszechnica jeszcze pół wieku temu. Wielkie zmiany historyczne niekiedy zasłaniają ludzi i kaza im wymazywać również z pamięci to, co dalekie jest od polityki, co służyło postępowi. 415 lat temu Stefan Batory, Król Polski i Wielki Książę Litewski podniósł Kolegium Jezuickie do godności Akademii. W latach międzywojnia, odrodzona po carskich zaborach uczelnia otrzymała jego imię. Był projekt ustanowienia w naszym mieście pomnika dla świątłego władcy i patrona znanego Uniwersytetu. Nie doszło do tego. Również po wojnie, kiedy to w czasach radzieckich narzucono mu imię Vincasa Mickevičiusa-Kapsukas, działacza raczej dalekiego od idei tolerancji.

Dopiero ostatnio jego imię wróciło na starą uczelnię wileńską. 17 września na dziedzińcu Piotra Skargi odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci Wielkiego Księcia Litewskiego i Króla Polski, pisaną po łacinie. Na uroczystość przybyli rektorzy innych uczelni wileńskich, przedstawiciele placówek dyplomatycznych Polski i Węgier, naukowcy z tych krajów. Tablicę pamiątkową, którą wykonał znany plastyk Petras Repšys, odsłonił rektor UW Rolandas Pavilionis. Przybliżył on osobowość patrona uczelni zebrałym.

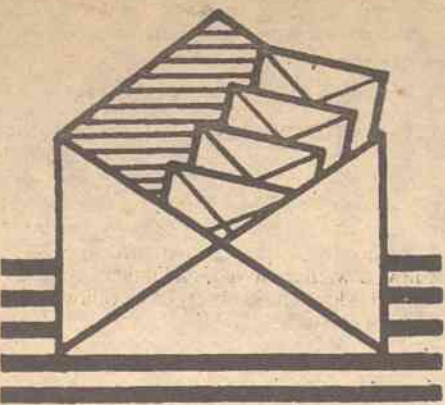
W tych dniach na Alma Mater Vilnensis odbywała się konferencja naukowa, poświęcona 460-leciu urodzin założyciela Uniwersytetu. Głos zabrali Polacy, Węgrzy i gospodarze - naukowcy

litewscy. Na obrady, które trwały trzy dni, przybyli znani naukowcy polscy: prof. Aleksander Gieysztor, prof. Juliusz Bardach, prof. Henryk Wisner, prof. Restytut Staniewicz, syn rektora uczelni wileńskiej, wydawca przedwojennego „Kuriera Wileńskiego”, z referatami wystąpili dr Aleksandra Niemczykowa, Danuta i Leon Brodowsky. Nawiązano do najpiękniejszych tradycji Wszechnicy Wileńskiej, przypomniano karty świetności uczelni, jej wybitnych wychowanków, którzy rozsławili Litwę i Polskę w świecie. Udział przedstawicieli Węgier pozwalał też odczuć spójność interesów krajów w regionie historycznie ze sobą powiązanych, spójność interesów dzisiejszych, spojrzeć na dorobek uczelni z szerszej perspektywy, w duchu szukania nowych dróg współpracy.

Jak odnotowali naukowcy republiki, po raz pierwszy w ten sposób do litewskiej tradycji kulturalnej włączono pojęcie „Uniwersytet Stefana Batorego”.

400 lat temu była to uczelnia z wykładami po łacinie, na której studiowali ludzie różnych narodowości. Dzisiejsze inicjatywy zmierzają w duchu Zjednoczonej Europy. Jest propozycja utworzenia przy Uniwersytecie Centrum Kultury Polskiej oraz międzynarodowego Collegium Batorianum, struktury interdyscyplinarnej dla doktorantów, gdzie zajęcia odbywałyby się w językach angielskim, litewskim i polskim. Są też inne projekty. Ich realizacja mogłaby dla uczelni otworzyć rozległe horyzonty.

Romuald Mieczkowski



Może warto przetłumaczyć?

Będąc ostatnio w sierpniu br. w Wilnie od-
wiedziliśmy z żoną Katedrę po jej generalnym
remontach. Byliśmy pełni podziwu oglądając efek-
ty wysiłków mieszkańców i Kościoła Katolickiego
Litwy. Szczególnie wstrząsnęła nami kaplica,
poświęcona martyrologii mieszkańców Litwy.
Niestety, prawie nie znając języka litewskiego
mogliśmy się tylko domyślać treści tekstów obja-
śniających, znajdujących się w tej kaplicy. Wydaje
się, że Katedrę Wileńską będzie odwiedzać coraz
więcej turystów, którzy nie znają litewskiego, a
którzy przy tej okazji powinni poznać tragiczne
epizody najnowszej historii Litwy. Byłoby zatem
wskazane, aby wspomniane teksty objaśniające
przetłumaczyć co najmniej na angielski, niemiec-
ki i francuski i tłumaczenia umieścić obok orygi-
nałów litewskich.

Adam Dąbrowski
Warszawa, Polska

Wyrażam swą wdzięczność

Cieszę się, że otrzymuję gratisowo „Znad Wi-
lii”. Z zainteresowaniem czytam artykuły na róż-
norodne tematy. Składam również podziękowa-
nie p. Pawłowi Matuszewskiemu za sfinansowanie
prenumeraty. Dzięki temu mam możliwość obco-
wania z jedynym mi dostępnym czasopiśmie
polskim. Bardzo proszę Redakcję przekazać sto-
wa wdzięczności z głębi Syberii do dalekiej Ame-
ryki.

Władysław Rudnicki
Siewiersk, Obw. Tomski, Rosja
Wilno, 13.09.94

Redaktor Naczelny „Znad Wilii”

W imieniu całego zespołu Teatru Lubuskie-
go, wykonawców spektaklu „Pan Tadeusz” oraz
w swoim własnym pragnę złożyć na Pana ręce
najgorętsze podziękowania za Środę Literacką w
dniu 7 września 1994 roku w Celi Konrada. Za
tę szczególną dla nas Środę, która mogła dojść
do skutku dzięki Pańskiemu zaufaniu do nasze-
go zespołu i ogromnemu trudowi organizacyjne-
mu, jaki Pan sobie zadał. To, że mury Celi mogły
usłyszeć Mickiewiczowski tekst, to, że tekst arcy-
poematu mógł zabrzmieć w tak szczególnym
miejscu - zabrzmieć nowymi znaczeniami, za to
Panu dziękujemy - wzruszeni, bogaci Cielą, zobo-
wiązani do jeszcze głębszego obcowania z tek-
stem arcyepoematu w następnych spektaklach.

Pragniemy wrócić do Celi Konrada, do Śród
Literackich, do Wilna - zawsze ze spektaklem,
który jest niesiony tekstem arcydzieła literackie-
go.

Waldemar Matuszewski
Dyrektor Naczelny i Artystyczny
Teatru Lubuskiego z Zielonej Góry

X X X

Pobyt w Wilnie wspominam bardzo często,
jak też ludzi, których tu spotkałem. W drodze
powrotnej udało mi się odwiedzić p. Wiktoria Ko-
sewicz, córkę znanej przed wojną położnej w
Pohoście, która mieszka obecnie w Wielbarku
k/Olsztyna. W 1946 roku w towarzystwie jej mat-
ki - Anny Kosewiczowej odbywaliśmy podróż z
Głębokiego w ramach repatriacji na Śląsk. Po-
tem obydwie panie wyjechały na Mazury. Pani
Anna już nie żyje, jej córka, z zawodu nauczyciel-
ka, jest na emeryturze. Piszę o tym, gdyż chwile
spędzone na Litwie, jak też w Pohoście, przypom-
niały mi ludzi stąd wywodzących się. Będę po-
wracał do tych stron.

Wiktor Skarbowski
Wrocław, Polska

Trzeba umieć samemu wyciągnąć rękę

Z Adamem Krzemińskim, politologiem i publicystą „Polityki”

rozmawia Romuald Mieczkowski

- Bardzo pracowicie spędza Pan czas w Wil-
nie. Co jest tego powodem?

- Jestem w kilku sprawach. Chcemy nawią-
zać kontakty z dziennikarzami litewskimi, zaj-
mującymi się problematyką polską. Może uda
się dla jednego z nich przeznaczyć stypendium
„Polityki”. Towarzyszyłem też grupie niemiec-
kiej z Towarzystwa Niemiecko-Polskiego, która
w zeszłym roku miała podróż pod hasłem „Ga-
licja literacka”. Zwiedziliśmy Lwów, Kołomyję,
Czerniowce, „porwałem” Niemców do Kamień-
ca Podolskiego. Tym razem odwiedzili Króle-
wiec, Litwę i Łotwę. Na Wilno przypadły dwa
dni. W czasie spotkań mieli różne aspekty wi-
dzenia tego miasta - litewski, polski, żydowski,
jak też legendy literackie.

- I jaki mają stosunek do tego, co zobaczyli?

- Jest to dla nich egzotyka i dość skompliko-
wana sprawa. O ile wiem, Niemcy Wschód znają
wyłącznie z punktu widzenia własnej historii. Na
dobrą sprawę większość patrzy na innych też z
takiej perspektywy, szukając swoich śladów. W
literaturze niemieckiej są pewne legendy, które
pozostały mocno zakodowane. I to się odczu-
wało w Kłajpedzie, na Łotwie. Tu uderza ich
przerośnięcie tkanki trzech podstawowych kul-
tur: litewskiej, polskiej, żydowskiej. Kolejność
nieistotna.

- Jak oceniają kondycję tej tkanki, szansę
przenikania tych warstw?

- Na razie żyje ona przeszłością. Promienio-
wanie historyczne jest bardzo silne po dzień
dzisiejszy. Gorzej jest z teraźniejszością i przy-
szłością. Historia jest wciąż dużym wyzwaniem.

- Niemcy patrzą na Litwę z dalszej perspek-
tywy. Natomiast jakie są odczucia publicysty,
który był tu w kwietniu?

- Jestem zdumiony, że przygotowanie trak-
tatu polsko-litewskiego, a co za tym idzie, uzna-
nie granicy, przyznanie Litwie w majestacie pra-
wa Wilna jako stolicy tak niewiele zmieniło w
psychologii. Wydawało się, że to będzie wielki
przełom, że Litwini nie będą stronić od naszego
sąsiedztwa. A tu zupełnie niezrozumiała histo-
ria chociażby z AK; jakby był tylko jeden sposób

myślenia - w pancerzu i z opuszczoną przyłbicą...
Trwa przyglądanie się jedynie własnej historii.
W Polsce po uznaniu granicy przez Niemców
ten lęk szybciej się rozwił.

- Czy to nadal podstawowa przeszkoda w
stosunkach polsko-litewskich?

- Raczej blokady puszczają wolniej, aniżeli
tego spodziewaliśmy się. Oczekiwaliśmy, że
traktat da nowe pchnięcie do przodu, tymcza-
sem dyskutujemy o sprawach bolesnych, ale dla
przyszłości mało istotnych. Wyliczanie, ile ofiar
po różnych stronach było, nie jest dobre dla
chrześcijan. Moralny wymiar tego jest po prostu
zgrzebny. Brak odwagi wspaniałomyślnego
pójścia do przodu. A przecież tracimy pewną
szansę stworzenia nowej wspólnoty mentalnej.
Nie wystarczy przecież amerykańska kultura,
obecność zachodnich towarów, Marlboro i za-
granicznego piwa. Dla mnie np. zupełnie niepo-
jęte jest to, że w Kłajpedzie jest kawiarnia „Me-
mel”. Kompletna irracjonalna neuroza dowo-
dzi, że istnieje wewnętrzny kompleks przy prze-
jęciu tego spadku historycznego. Odczuwa się
również, jak gdyby Żmudź wciąż nie dorosła do
Wiłna.

- Mówi się o potrzebie „przeprosin” Litwy
przez Polskę. W stosunkach polsko-niemiec-
kich były pewne analogie...

- Niczego nie można dziś żądać od nikogo.
Przeproszenie wynika z wewnętrznej potrzeby.
Domaganie się czegoś od drugiej strony. W tym wypadku
odrzućnięcie głuchoty na obolale przecież miejsca
dramatycznych doświadczeń. W końcu Litwini
wygrali. Z silniejszym przy tym przeciwnikiem,
jeśli operować językiem lat 20. Z małymi strata-
mi, dzięki Hitlerowi i Stalinowi, o czym rzadko
wspomina się. Gdyby nie rozbiór Polski, sytuac-
ja byłaby zgoła inna. Dlatego trzeba mieć coś z
taskawości. Nie zapominać, ilu ludzi stąd wypę-
dzono - Litwini wszak stanowili nikły procent
ludności. To jakby już przeboleło. Co więcej, ci
wypędzeni Polacy z Wilna mają normalny i ra-
czej życzliwy stosunek do Litwinów niż zamie-
szkali. Czego potrzeba więcej? My z Niemca-

mi, którzy wyjechali z Polski, znajdowaliśmy
wspólny język, bo oni znają te zagadnienia. To
byli ci, którzy nas z podobnego powodu akcep-
towali. I również dla Litwinów ludzie stąd w
Polsce są jakimś łącznikiem. Trzeba umieć sa-
memu wyciągnąć rękę. We wrześniu w Gdańsku
ma miejsce spotkanie z Niemcami, któremu pa-
tronuje biskup i prezydent miasta. Myśmy ich
wypędzili 40 lat temu, a dzisiaj witamy jako
partnerów. Aby tak było, trzeba mieć wizję prze-
szłości, wiarę w swoją tożsamość i w przyszłość.

- A jak się postrzega w tym kontekście spo-
łeczność polska na Litwie?

- Życzę jej odtworzenia zastępów intelligen-
cji. Najwyższy czas zmieniać sytuację na drabi-
nie społecznej. Inteligencja może być najlep-
szym pośrednikiem nie tylko w załatwianiu
spraw polsko-litewskich, ale również w sferze
polityki. Oczywiście, po utworzeniu organizacji
politycznej trzeba pracować, żeby wybory wy-
grać. Ale ma to być nie tylko akcja jednorazowa.
Polacy muszą aktywniej działać w różnych
dziedzinach, być bardziej zauważalni.

- Dziękuję za rozmowę.

Podziękowanie

Wyrażamy serdeczną wdzięczność Panu
Tadeuszowi Radzuszowi, właścicielowi oficyny
„Gutenberg-Print” w Warszawie za przekaza-
nie redakcji „Znad Wilii” 10 egzemplarzy re-
printu Encyklopedii Powszechnej Wydawnict-
wa Gutenberga, której całość ma objąć 22 tomy.
Podziękowania składamy również Paniom,
pracownicom biblioteki Szkoły im. Sz. Konar-
skiego w Wilnie - Jadwidze Brazdiliene i Alicji
Baniukiewicz, dzięki którym część tomów ency-
klopedii, jakie się dotychczas ukazały, trafiło
do redakcji polskich czasopism w Wilnie. Cie-
szy fakt, iż byli wilnianie, tacy jak Tadeusz
Radzusz, pamiętają o swych rodakach na Lit-
wie.

Redakcja

Kolebka na Pograniczu

Transylwania znaczy „ziemia za lasem”

Transylwanię Polacy nazywają Siedmiogro-
dem i najczęściej myślą, że jest to część Węgier.
Od końca pierwszej wojny światowej Siedmio-
gród należy do Rumunii, ale Węgrzy stanowią
tu przytłaczającą większość mieszkańców, choć
w społeczeństwie rumuńskim są mniejszością.
Od niemal osiemdziesięciu lat żyją oni poza gra-
nicami swego kraju, a od 1972 roku pozbawieni
są autonomii. Można jednak pozazdrościć Wę-
grom, że ich siedmiogrodzcy rodacy mają tyle
odpowiedzialności obywatelskiej przy zachowa-
niu tak żywej świadomości narodowej - mimo
niezadowolienia i frustracji są mniejszością bar-
dzo twórczą: wszyscy dobrze znają rumuński,
wydają jednak wiele czasopism na wysokim po-
ziomie w swoim ojczystym języku. Zamieszkałe
przez Węgrów tereny są lepiej zagospodarowa-
ne, niż pozostałe regiony Rumunii, a mapa ostat-
nich wyborów parlamentarnych wyraźnie
pokazuje, że nie oni głosowali na postkomunistów.

I nam, Polakom nieobca jest
ta „ziemia za lasem”, choć Polacy
tam nie mieszkają. Po tragicznym
końcu Powstania Listopadowego,
podczas Wiosny Ludów 1848 ro-
ku, przegrany, zdawałoby się,
wódz powstańczy - Józef Bem -
znajduje w Siedmiogrodzie miej-
sce realizacji swych przywódczych
talentów i rewolucyjnych ideałów
u boku węgierskiego przywódcy
Lajosa Kosuta i poety-powstańca
- Sandora Petefiego. Zaszłyżane
w Siedmiogrodzie opowieści o
Wiosnie Ludów kojarzą się może
bardziej z Powstaniem Styczniowym:
i na Litwie, niemal każda
wieś bądź miasteczko ma bohate-
rów na własną miarę...

Na trzysta lat przed tragedią
narodowych powstań historia
związała Polskę i Litwę z Siedmio-
grodem w bardziej szczęśliwy spo-
sób: książę siedmiogrodzki, Ste-
fan Batory został królem Polski i
Wielkim Księciem Litewskim.
Polacy lubią i cenią tego, najwy-
bitniejszego bodaj władcę elek-
cyjnego. Batory chyba jednak
bardziej lubił Litwę: wiele czasu
spędził w Grodnie (ówczesne
Wielkie Księstwo), świetnie obro-

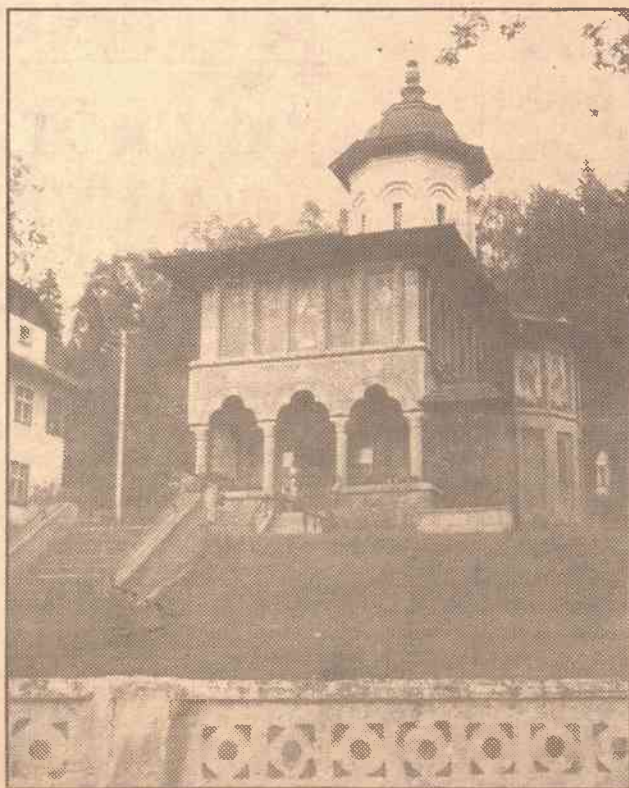
nił Litwę przed najazdem moskiewskim i obda-
rzył ją uniwersytetem, tak ważnym dla Polaków
i Litwinów. To dziwne, że wspólnota akademic-
ka nie upomina się o imię założyciela Alma
Mater w nazwie uczelni...

Siedmiogród jest miejscem działalności ru-
muńskiego bohatera narodowego - Avrama
Jancu. W czasie węgierskiej Wiosny Ludów Au-
striakom udało się wpłynąć na Jancu i wykorzy-
stać napięcia węgiersko-rumuńskie przeciwko
powstaniu.

X X X

Dziś, po tych wszystkich doświadczeniach,
siedmiogrodzianie mówią, że ich ziemia podob-
na jest do wieńca albo kolebki. Szczęśliwy, kogo
Bóg kołysał w tej kolebce i kogo ozdobił takim
wieńcem.

Katarzyna Korzeniewska



Cerkiewka w Tusnad (Siedmiogrodzie).

Fot. Jolanta Szpilewska

Międzynarodowy Kongres Poetów

odbył się w dniach 21-23 września w Lubli-
nie. Prezydent Kongresu Tadeusz Kwiatkowski-
Cugow zaprosił literatów z różnych miast Polski,
jak też z Japonii, Grecji, USA, Włoch, Ukrainy,
Węgier, Chorwacji. Z Litwy przybyli Alicja Ry-
bałko, Mirosława Wojszwiłło i Romuald Miecz-
kowski.

Gości powitano na Placu Litewskim. Tu
poeci znad Wilii przekazali na ręce organizato-
ra... chleb litewski, którym wszyscy się przełama-
li, doceniając ów symbol właśnie w tym miejscu
oraz chwalebny walory naszego pieczywa. Tymcza-
sem nad placem z obeliskiem Unii Lubelskiej
krążył samolot z flagą: „Lublin wita poetów
świata!”

W czasie imprezy literaci odwiedzili szkoły w
Lublinie i Puławach. Był wyjazd do Kuncewi-
czówki w Kazimierzu, gdzie miał miejsce wie-
czór poezji greckiej. W czasie pobytu i przyjęcia
w Kraczevicach został podsumowany konkurs
„O Laur Akropolu”. Nagrodę wysokości 1000
USD, ufundowaną przez Lubelski Oddział
PKO, otrzymał zamieszkały w Poznaniu poeta
Nikos Chadzinikolau.

Impreza wykazała, że faktycznie jeden czło-
wiek - Kwiatkowski-Cugow - przy wsparciu nie-
licznych pomocników i sponsorów-przyjaciół
może doprowadzić do takiego spotkania. Choć
miało ono, prawda, w znacznym stopniu charak-
ter improwizacji - części programu nie udało się
dopiąć, to poeci czuli się dobrze ze sobą. Szkoda,
że w imprezie nie uczestniczyli inni literaci Lub-
lina. Po zakończeniu Kongresu Tadeusz Kwiat-
kowski-Cugow powiedział:

- Spełniły się moje marzenia estetyczne i
artystyczne, nawet finansowe. Nie był to Kong-
res rozrzućny i wystawny. Nie stawiałem na
„gwiazdy”, choć przybyło niemało poetów o
ustalonym nazwisku, to byli i zupełnie młodzi,
którym zamierzam wydawać tomiki debiutan-
ckie. Doceniam obecność kolegów z Wilna,
współpracę z nimi, propozycje poetyckie z ich
regionu. Przecież człowiek piszący po polsku,
nawet w Etiopii, jest poetą polskim. Z drugiej
strony odkrywamy dla siebie literaturę innych
krajów, bo poeci - to pewna „rasa”, zapis gene-
tyczny, styl, być może szaleństwo, ale w bardzo
ważnym, służebnym pojęciu. Mamy przecież
obowiązek, nie nakaz moralny, budzić w innych
uczucia estetyczne, wskazywać, gdzie leżą
prawdziwe wartości.

T.B.

Przed ratyfikacją traktatu polsko-litewskiego

- Na wstępie proszę powiedzieć, jak nas widzą w Polsce?

- Moim zdaniem, prasa polska bardzo często sprowadza cały obraz Litwy do obecności tam Polaków. Z trudem da się przypomnieć publikacje, w których byłyby podstawowe dane o Litwie. Większość nawiązuje do stosunków polsko-litewskich, sytuacji Polaków. To prawda, były ku temu powody - do niedawna chodziło o traktat. 13 października zostaną postawione kropki nad „i”. Staramy się mówić na swych konferencjach prasowych, że Litwa, to nie tylko 240 tys. Polaków, ale i dość swoista kultura, interesujący ludzie, godny uwagi, choć skomplikowany układ ekonomiczny. Miał rację Mickiewicz, mówiąc, że o Chinach więcej wiadomo w Polsce niż o nas. I tak trwa do dzisiaj! Staramy się taki obraz zmienić. Często wyjeżdżam w teren, do różnych województw - byłem w Gdańsku, Poznaniu, Łodzi. Oczywiście, w Puńsku, gdzie są skupieni Litwini. Chcę, żeby też było jak najwięcej kontaktów między województwami i naszymi rejonami.

- W Krakowie powstał Ośrodek Litewski. Od dłuższego czasu nie udaje się czegoś podobnego utworzyć w Wilnie.

Więzy między dwoma historycznymi grodami pozostają w dalszym ciągu dość luźne.

- Rozmawiałem na ten temat z władzami m. Wilna. Niestety, kontakty takie nie rozwijają się najczęściej z powodów biurokratyczno-formalnych. W wyniku naszej niedokładności, nieumiejętności pracy. Namawiałem, żeby jak najszybciej przydzielić Krakowowi jakieś pomieszczenie na prowadzenie działalności kulturalnej w Wilnie, od czego można byłoby zacząć. Rozmawiałem też z marszałkiem Sejmu RL. Česlovasem Juršenasem, by wsparł ideę utworzenia takiego ośrodka przy ul. Užupio 23 (Za-rzecz). Może tam udałoby się przeznaczyć pomieszczenia również dla organizacji polonijnych na Litwie. Budynek ma powierzchnię 3 tys. metrów kw. W podwawelskim grodzie natomiast działa już restauracja, są możliwości organizowania różnych imprez.

- Nowy impuls do współpracy da ratyfikowanie traktatu między naszymi państwami.

- Bardzo dobrze, że zostawiliśmy w spokoju różnice w naszych ocenach odnośnie okresu

międzywojennego. Współpracujemy, a potem zobaczymy, co dalej! Zdaję sobie sprawę, że przeszłość - to nie tylko kwestia historyczna, lecz i polityczna. Może kiedyś takie interpretacje staną się nieaktualne - z powodu normalnych kontaktów. Przykłady takie są, m.in. w stosunkach między Francją i Niemcami, Niemiec z Polską. Mieszkaliśmy w regionie, który trafiał pod panowanie różnych imperiów, przez ostatnie 200 lat nasze państwa narodowe nie mogły się normalnie rozwijać.

- Stąd potrzeba także zmiany mentalności. Ale traktat - to podstawa do konkretnych, ów fundament.

- Ratyfikacja dokumentu pozwoli rozwiązać najważniejsze węzły. Potem będą inne porozumienia, m.in. umowa o wolnym handlu. Tekst porozumienia jest uniwersalny, ale kiedy dochodzi do konkretnych kroków, sprecyzowanie

tym skupisku zamieszkuje duża grupa Litwinów. Prawda, nikt nie wie, ilu ich jest dokładnie, bo nie było sondaży socjologicznych, w których należało przedstawić narodowość. Ratyfikowany traktat w punktach 13-16 akurat reguluje prawa grup etnicznych. Są jednak i różnice - Litwini w Polsce żyją w warunkach państwa jednonarodowego, inaczej jest na Litwie. W prasie pojawiają się wypowiedzi o konsulu Vidmantasie Povilionisie jako „nacionaliście”, ale to zupełnie nie odpowiada prawdzie. Trzeba też pamiętać, że jest to urzędnik, którego zakres działania również wyznacza litera traktatu. Urzędnik mający szanować suwerenność państwa polskiego. Jakies „niebezpieczeństwa terytorialne” ze strony pana Povilionisa na pewno nie zagrażają. Nie uważam, żeby jego osobowość miała wpływ na „wielką politykę”. Nawet ambasada jej nie prowadzi, bo tylko reprezentuje państwo. A pracy wszystkim placówkom dyplomatycznym wystarczy. Tym bardziej, że jej objętość ciągle wzrasta.

Jeśli taka tendencja się zachowa, to wielkość obrotów tylko handlowych w tym roku wzrośnie dwukrotnie w porównaniu z ubiegłym.

- Nad czym w najbliższym czasie skoncentruje swą uwagę Ambasada RL w Warszawie?

- Wkrótce rozpoc-

niemy narady w sprawie wspomnianej umowy o wolnym handlu. Opracowujemy też warunki pracy polskiej misji handlowej na Litwie, w której zamierzają uczestniczyć „lwy” gospodarki polskiej, przedstawiciele prestiżowych organizacji, którzy będą w stanie podjąć kompetentne decyzje na miejscu. Będzie to niewątpliwie wielki krok w polsko-litewskiej współpracy. Ponadto, jak wiadomo, przez cały czas coś się dzieje w kulturze. I to dobrze, ponieważ, jak zaznaczyłem na początku, o Litwie informacja nie jest właściwa. Nie jest to może obraz z Sienkiewicza, ale i nie taki, który odpowiadałby dzisiejszej rzeczywistości.

- Jest to stan rzeczy chyba obopólny...

- Niewątpliwie! Jesteśmy na początku drogi.

Przeszłość nie musi stanowić podstawowej informacji o nas. Nie powinna ona przeszkadzać naszym współczesnym kontaktom. I to jest nasza filozofia, którą, co prawda, jak najszybciej musimy sobie uświadomić.

- Dziękuję za rozmowę.

Przeszłość nie może stanowić podstawowej informacji o nas

Z Antanasem Valionisem, ambasadorem RL w Warszawie rozmawia Romuald Mieczkowski

list towarów, którymi możemy handlować, powstają problemy. Wymaga to po prostu żmudnej pracy. To samo dotyczy współpracy w kulturze i innych dziedzinach. Jestem optymistą i mam nadzieję, że przybyłem do Warszawy po to, aby w tym kierunku pracować.

- Ostatnio reaktywowano działalność Towarzystwa Litwa-Polska. Jak Pan ocenia ten krok?

- Tylko pozytywnie. Ubolewam, że dotychczas tego nie uczyniono. Bardzo się cieszę, że Towarzystwo powstało. To też ilustruje mentalność ludzi po obu stronach. Były siły polityczne, które sprzeciwiały się również istnieniu takiego Towarzystwa, a teraz zaszła zmiana. Każda poważna, licząca się na Litwie siła polityczna, docenia potrzebę traktatu, współpracy. Mam nadzieję, że Towarzystwo przyczyni się również do zbliżenia naszych narodów.

- Litwa pozyskała nową placówkę dyplomatyczną - Konsulat RL w Sejnach.

- Jego otwarcie jest rutynowym posunięciem. Konsulat działa w miejscu, gdzie w zawar-

LITWA - POLSKA

I Międzynarodowe Targi Kowieńskie

W targach uczestniczyło 185 firm polskich. 14 proc. wystawców stanowili przedstawiciele branży spożywczej, 10,5 proc. - maszyn i urządzeń, 10 proc. - materiałów budowlanych. Nie zabrakło bogatego asortymentu mebli, artykułów oświetleniowych, elektronicznych, części samochodowych, kosmetyków, obuwia, wyrobów chemicznych. Do Hali Sportowej w Kownie przybyli przedstawiciele licznych przedsiębiorstw, wystąpiły zespoły artystyczne z Polski. O ile z prezentacji kowieńskiej wynika ciekawe transakcje, należy przypuszczać, stanie się ona tradycyjnym spotkaniem polskich i litewskich przemysłowców i biznesmenów. Była to największa w ostatnich latach polska prezentacja gospodarcza na Litwie.

Pracować w Polsce

26 września ministrowie - pracy i polityki społecznej RP Leszek Miller i opieki społecznej i pracy RL Mindaugas Mikaila - podpisali umowę o dwustronnym zatrudnianiu obywateli Polski i Litwy.

W ub. roku w Polsce legalnie pracowało 226 obywateli Litwy, w pierwszym półroczu br. - 126, głównie w budownictwie i przetwórstwie artykułów rolnych. Zgodnie z umową, do pracy przyjmuje się na okres 12 miesięcy, a po uzgodnieniu z pracodawcami - na 18 miesięcy. Podobne umowy istnieją z innymi krajami, na ich mocy Niemcy gotowi są przyjąć 200, zaś Szwecja - 300 młodych robotników z Litwy.

Trakiszki po modernizacji

Przekazano tu nowy dworzec kolejowy. Jest to stacja położona w pobliżu granicy z Litwą i mająca połączenie z Sejstokai. Podróżni z Litwy przez Trakiszki udają się do Suwałk i stamtąd do Warszawy.

Dworzec zbudowano w ciągu dwóch lat. Jest to nowoczesna budowla z dobrym wyposażeniem, m.in. z tzw. bramką radiometryczną do wykrywania materiałów radioaktywnych. W budynku urządzono boksy odpraw celnych, przestronną i funkcjonalną poczekalnię.

Dialog - wspólna praca - uniwersalizm

W dniach 25 września - 1 października w Warszawie odbył się Pierwszy Polski Kongres Uniwersalizmu. Kongres o charakterze naukowym, edukacyjnym i praktycznym winien być podsumowaniem i nawet zbiorową próbą planu syntezy sytuacji, przede wszystkim zaś otwarciem ku nowym formom myślenia i działania, współtworzenia już teraz obszarów, instytucji i mechanizmów uniwersalnego społeczeństwa oraz uniwersalnego światopoglądu i uniwersalnej etyki - napisali w programie organizatorzy tego solidnego przedsięwzięcia.

Uniwersalizm sięga do idei ekumenizmu, głoszonej przez Jana Pawła II, uwypukla ogólnoludzki charakter działania, podkreślając jednocześnie wkład mniejszości narodowych. Towarzystwo Uniwersalizmu w Warszawie rozwija więzi współpracy z Litwą i innymi sąsiednimi krajami. Obecne obrady odbywały się w kilku sesjach. W trakcie jednej z nich omawiano temat „Wielowątkowa realizacja traktatu litewsko-polskiego w duchu uniwersalizmu”. Przewodniczył dr Leon Brodowski, prezes Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy. Referat „Recepcja i rozwój uniwersalizmu na Litwie” wygłosił prof. Jokūbas Minkevičius.

Na naukę - do Polski

1 października na kształcenie do Gdańska wyruszyło 6 nauczycieli historii ze szkół polskich na Litwie. W Kolegium Nauczycielskim w Suwałkach rozpoczęło nowy rok akademicki 6 nauczycieli. Na Zarządzie Polskiej Macierzy Szkolnej na Litwie rozpatrzono kwestię dalszej rekrutacji studentów na wyższe uczelnie w Polsce.

Oferuje „Polfa”

Chodziło głównie o oferty wspólnego litewsko-polskiego przedsiębiorstwa „Asotra” z siedzibą w Kownie, które w pałacu wystaw „Litexpo” w czasie wielkiej wystawy międzynarodowej przedstawiło wyroby znanej polskiej firmy. „Asotra” zarejestrowała już na rynku ponad 50 różnych leków, zdobywając litewskie certyfikaty.

List otwarty żołnierzy AK

W latach 1943 i 1944 byliśmy żołnierzami sił zbrojnych II Rzeczypospolitej i walczyliśmy na terenach stanowiących wówczas prawowitą własność Polski, co było zgodne z deklaracją ówczesnego rządu polskiego w Londynie - napisali autorzy listu otwartego, obradujący w Ogólnopolskim Zjeździe Byłych Żołnierzy Kresowych Armii Krajowej w Międzyzdrojach.

List został wystosowany do marszałka Sejmu RP Józefa Oleksego. Jego autorzy domagają się wprowadzenia do układu o przyjaźni z Republiką Litewską klauzuli, dotyczącej uznania AK na terenie Wileńszczyzny za siłę zbrojną, walczącą w ramach koalicji antyniemieckiej.

List wysłano w związku z oświadczeniem Sejmu Litewskiego, w którym dzieli się Armię Krajową na terenie Wileńszczyzny na antylitewską i wroga - oraz taką, która słusznie walczyła z okupantem.

Opr. W.M.

USŁUGI

Dmitrijus Podgorny, dyrektor firmy „Diprintas”: Bez dobrej pieczątki ani rusz!

- Jak długo na rynku litewskim działa wasza firma?

- Spółkę założyliśmy z Łotyszami. Zdecydowaliśmy wejść z pieczętkami flamastrowymi. To u nas na razie nowość. Tylko my je produkujemy na Litwie.

- Na czym polega ta nowość?

- Pieczątki tego typu są bardziej wydajne, da się nimi zrobić do 10 tys. odbitek, automatycznymi - około 2-3 tysiące. Nie trzeba również nosić ze sobą poduszki z farbą, są mniejsze. Poza tym, można nimi korzystać z pięciu różnych kolorów. Pieczęć jest bardziej elastyczna - nawet gdy farba wyschnie, można nią posługiwać się - po prostu farba wsiąka do środka. Prawda, takie pieczątki są trochę droższe, ale bez dobrej pieczątki nie ma interesu. Bez niej ani rusz.

- To nie jest jedyna usługa?

- Produkujemy również wizytówki, blankiety, świadczymy usługi w zakresie składu komputerowego, reklamy. Aby robić to jak najlepiej, dużo uwagi zwracamy na estetykę. Ale powracając na chwilę do

pieczątek - obecnie zaczynamy je robić z metalu - do plombowania sejfów, drzwi itd. Prowadzimy także usługi consultingowe.

- Jesteście „samowystarczalni”, czy istnieje szersza współpraca?

- Oczywiście. Nie jesteśmy w stanie wydrukować np. parę dziesiątek tysięcy blankietów offsetowych, oddajemy więc zlecenie drukarni, u których mamy duże zniżki i dlatego nie boimy się konkurencji. Współpracujemy też z firmami w innych dziedzinach.

- Jak wygląda wyposażenie techniczne?

- Część sprzętu dostarczyli Łotysze, część sami zakupiliśmy. Nie narzekamy. Będziemy starać się pracować nowocześnie.

- Jak z klientami?

- Mój kolega powiada: „Ja tak ich lubię, oby przychodziło ich jak najwięcej, a miejsca wszystkim starczy!” Niestety, pomieszczenie jest w stanie awaryjnym, dokonujemy jednocześnie remontu i z tego powodu klientów jest trochę mniej.

- Skąd ta nazwa „Diprintas”?

- „Print”, to jest słowo związane z poligrafią. Dodatek „di” pochodzi od mego imienia.

- Na przyszłość nie planuje Pan zmienić profilu?

- Raczej nie. Dodamy tylko aparaty kasowe. Chcemy otworzyć punkty przyjmowania zamówień w całym kraju. W Wilnie natomiast najlepiej nas znaleźć przy ul. Pili-mo (Zawalna) 45, a także w sklepie „Wirtina” przy ul. Jasinskio oraz w księgarni zarządu naszej dzielnicy.

Rozmawiał: Jan Wierbiel

PIECZĄTKI
MAKIETOWANIE KOMPUTEROWE
WIZYTÓWKI
BLANKIETY
REKLAMA

DIPRINTAS Pylimo 45, Vilnius



tel/fax 22 78 05

Kto ocalił Uniwersytet Wileński.

Wspomnienia po 15 latach - nie tylko o ratowaniu w 1944 roku Alma Mater Vilnensis

Ks.dr Józef Czerniawski

Pisać będę o zagrożeniu głównego gmachu Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Chodzi o ocalenie go od pożaru w czasie działań wojennych i oblężenia miasta przez wojska radzieckie w pierwszej połowie lipca 1944 r. Niemcy podpalili i spalili wtedy w Wilnie wiele gmachów wojskowych i cywilnych. Mieli zamiar spalić również główny gmach Uniwersytetu. Ponadto były próby podpalenia go fosforowymi, zapalającymi pociskami z karabinów ręcznych. Zapaliła się drewniana galerijka przy Sali Białej Głównej Biblioteki Uniwersyteckiej. Na skutek przerzutów ognia z płonących domów przy ul.Świętojańskiej powstały dwa groźne pożary w głównym gmachu. Mimo niebezpieczeństw jednak on ocalał.

Kilka słów o mojej osobie: od 1 grudnia 1931 r. do 30 listopada 1939, tj. do czasu przejścia szkół polskich przez władze litewskie byłem prefektem w Państwowych Liceach Ogólnokształcących w Wilnie, a od roku szkolnego 1935/36 w Państwowym Żeńskim Liceum Ogólnokształcącym im. Elżb. Orzeszkowej. W czasie okupacji niemieckiej od 18 listopada 1941 do 24 marca 1945 roku, tj. do wyjazdu do Polski, byłem wikariuszem parafii św. Jana w Wilnie. W międzyczasie od 5 do 25 marca 1942 roku byłem wikariuszem-zastępcą w Nowej Wilejce - do powrotu z więzienia ks. kan. St. Milkowskiego - proboszcza, i ks. Wł. Araszkiewicza - prefekta. Piszę jako naoczny świadek i jako jeden z tych, który brał udział w ratowaniu uniwersytetu.

W czasie oblężenia Wilna byłem na plebanii parafii św. Jana, zaś ściśle wyrażając się, przebywałem więcej w podziemiu zakrytym kościoła, lub w schronie uniwersyteckim. Uniwersytet zawdzięcza swoje ocalenie zbiorowej obronie. Ale głównym jej inicjatorem i organizatorem był Kazimierz Nowicki, były funkcjonariusz USB (potem zamieszkały w Toruniu). Był on wyznaczony przez rektorat na komendanta obrony przeciwlotniczej (OPL) 2 października 1933 roku. Mieszkał z rodziną w głównym gmachu uniwersytetu. Zaznaczam, że w imię prawdy historycznej swój tekst uzgodniłem ze wspomnieniami K. Nowickiego.

Razem ze swoimi kolegami, byłymi funkcjonariuszami USB przygotował on obronę przeciwpożarową uniwersytetu. Dołączyłem się do tej akcji nieco później. Poniższe wspomnienia będą częściowo przypomnieniem i sprostowaniem artykułu „Prawdy Wileńskiej” z dn. 10 września 1944 roku w nr. 44(306) pt. „Kto ocalił Uniwersytet Wileński”, jak również uzupełnieniem i sprostowaniem w tej samej sprawie, do jakiej nawiązało w 1959 roku radio na Zachodzie w związku z 15-leciem PRL.

Krótko o świątyni św. Jana i przyległych doń budynkach. Był to pierwszy kościół parafialny w Wilnie, a potem archieparchialny, powstały z fundacji króla Władysława Jagiełły w r. 1387, wybudowany w stylu gotyckim, następnie kilkakrotnie przebudowywany. Obok kościoła stoi dzwonnica o wysokości 50 m. Wysoka bryła kościoła z dzwonnica osłaniała od wschodu znaczną część murów głównego gmachu uniwersytetu.

Do kościoła św. Jana przylega obszerny kwartał murów uniwersyteckich (dawniejsze kolegium Ks. Jezuitów), czworobok między ul.Świętojańską, Uniwersytecką, Placem Napoleona, Skopówką i Zamkową ze stylowymi dziedzińcami, d. Obserwatorium Astronomicznym i Centralną Biblioteką Uniwersytecką. Między kościołem a dzwonnica prowadzi stylowa ażurowa brama na wczesnobarokowy czworoboczny dziedziniec ks. Piotra Skargi, na który wychodzi właśnie fronton kościoła św. Jana o rokokowej fasadzie.

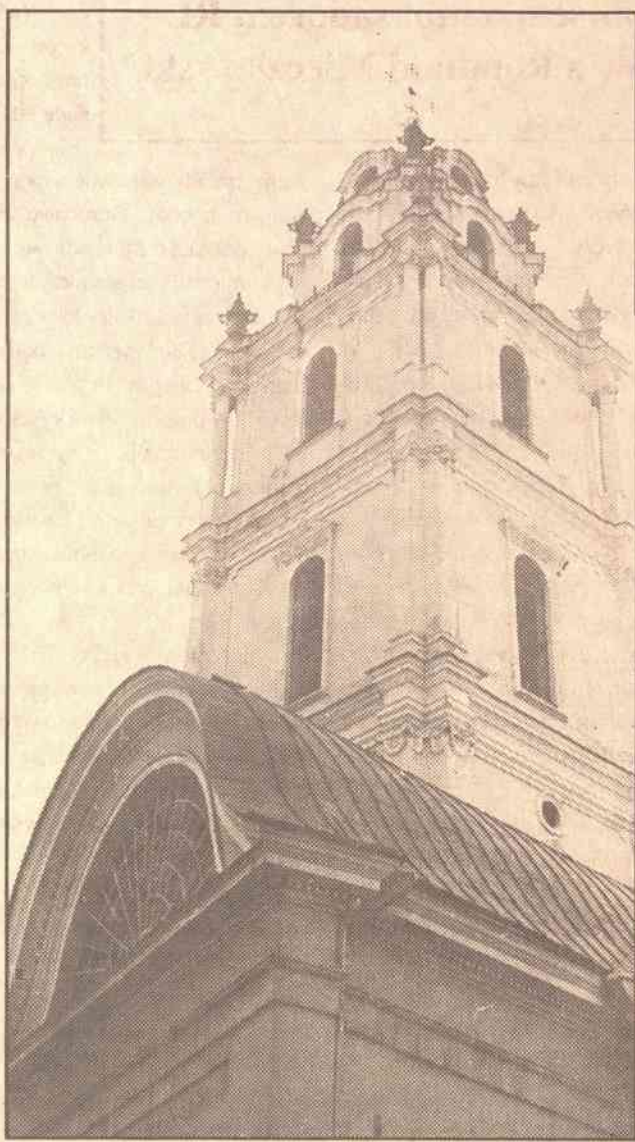
Największe zagrożenie i pożary powstały na tym dziedzińcu i w Bibliotece Centralnej. W jej lokalu zdeponowane były ponadto biblioteki seminaryjne fakultetów, których pomieszczenia zostały przez Niemców zajęte na szpital.

Tu zaznaczam, że po zamknięciu uniwersytetu i zwolnieniu personelu naukowego i administracyjnego 15 grudnia 1939 roku został otwarty tu Uniwersytet Litewski im. Księcia Witolda. Rektorem został profesor Biržiška, kierownikiem naukowym Rakauskas, zaś kierownikiem gospodarczym - Gryniewicz. Na skutek zbliżania się frontu uniwersytet został zamknięty, bodaj w marcu 1944, a cały gmach został przekształcony w niemiecki szpital wojskowy. W głównym gmachu przebywało jeszcze kilkunastu urzędników biurowych i niższych funkcjonariuszy Uniwersytetu

W czasie swego tegorocznego pobytu w Wilnie Janusz Dunin z Łodzi przekazał maszynopis „Wspomnień sprzed 15 lat”, spisanych w Białymstoku w 1959 roku. Maszynopis otrzymał od ks. dra Józefa Czerniawskiego jego ojciec Wiktor Dunin-Horkawicz, nieżyjący dziś lekarz-okulista, b. szef służby zdrowia AK w Wilnie (pseud. Kamil). Wspomnienia prawdopodobnie nie były nigdzie drukowane. „O ile wiem, - stwierdził p. Janusz Dunin - Autor nie żyje. Chciał on bardzo rozpowszechnienia tego tekstu”.

Uwagze Czytelników polecamy materiały, opracowane w odcinkach, z pewnymi skrótami. Tytuł został zmieniony na „Wspomnienia po 15 latach” oraz rozbudowany przez redakcję, ponieważ relacje dotyczą nie tylko akcji ratowania Uniwersytetu w 1944 roku, lecz i innych aspektów życia, widzianego oczyma osoby duchownej.

R.M.



Dzwonnica akademickiego kościoła św. Jana.

Fot. Bronisława Kondratowicz

chem był wielki schron, a w nim dość bogato wyposażona w dwóch pomieszczeniach wojskowa apteka, o której istnieniu dowiedziałem się już po oblężeniu. W części gmachu, który graniczył z dzwonnica, była umieszczona niemiecka przeciwlotnicza centrala telefoniczna. Obok mieszkał razem z rodziną K. Nowicki. Jak zaznaczyłem, był on wyznaczony na komendanta OPL domów uniwersyteckich przy ul.Świętojańskiej nr. 10 i Zamkowej nr. 11, 12, 22, 24. Zbliżał się front. Litewskie władze uniwersyteckie nie wydały żadnego zarządzenia na wypadek oblężenia. Wszyscy po kryjomu się ulotnili, a kilku pracowników administracyjnych i ludzi z niższego pionu zaprzęgnięto do wozu konia i wyjechali. Pozostali na miejscu b. funkcjonariusze USB.

Na kilka dni przed oblężeniem był ewakuowany niemiecki szpital wojskowy, następnie stacja telefoniczna. Obsługiwał tę stację m.in. niemiecki sierżant z Dolnego Śląska (nazwisko nieznane), mówiący dobrze po polsku. Przed wywiezieniem stacji ciężarówka niemiecka przywoziła na Dziedziniec ks. P. Skargi drzewo i deski, druga 14 beczek benzyny. W tym czasie ten żołnierz niemiecki podszedł do K. Nowickiego i powiedział: „Jestem Polakiem, uciekamy, bo bolszewicy już niedaleko, czego tu siedzisz? - a wskazując na deski i benzynę dodał - Niemcy przed ucieczką spalą ten cały gmach”.

K. Nowicki podziękował za radę i wiadomość. Jednak nie chcąc robić paniki, nie powiedział o tym ani rodzinie, ani krew-

nym, którzy na czas oblężenia skryli się do uniwersytetu. Znał dobrze podziemia, wielki schron i piwnice, którymi można było wyjść na b. Plac Napoleona.

W razie więc pożaru uniwersytetu była możliwość wycofania się. Porozumiał się ze swoimi kolegami, b. funkcjonariuszami USB, z którymi przystąpił do organizowania obrony przeciwlotniczej. Wraz z innymi zabrał ze składu narzędzi gospodarskich uniwersytetu wiadra, łopaty i drabiny. Przygotowano miotły na długich kijach, worki, szmaty, a nawet stare koce i kołdry. Co tylko się dało i nadawało do tego celu.

Zrobiono niezbędne przejścia na poddasze całego czworoboku od ul.Świętojańskiej na ul. Uniwersytecką, aż do Placu Napoleona. Rozmieszczono tam balie, beczki i garnki z wodą, jak również skrzynki z piaskiem. Szmaty i koce stale mokły w wodzie. Nikogo z władz uniwersyteckich nie było. Zbliżało się oblężenie. Przez dwie noce przedtem samoloty radzieckie ciężko bombardowały tory kolejowe i obiekty wojskowe wzdłuż nich - mianowicie ul. Targową, Kolejową i Poleską. Wybuchły liczne pożary. Po pierwszym, a zwłaszcza po drugim bombardowaniu nocnym, w obawie przed następnymi, wielu mieszkańców opuściło miasto. W głównym gmachu uniwersytetu trwali funkcjonariusze USB, pracownicy fizyczni. Żadnego umysłowego. Pozostała w mieście ludność szukała bezpiecznego miejsca w schronach podziemnych kościołów (jak np. św. Teresy i św. Ducha) i w piwnicach większych kamienic. Wielki schron pod głównym gmachem uniwersytetu był przepelniony, szczególnie w trzecią noc, kiedy zamiast bombardowania artyleria radziecka po północy zaczęła ostrzeliwać miasto.

Niemcy ustawili swoje baterie artylerii na małych placzkach osłoniętych od wschodu wyższymi budynkami, jak np. przy kościele św. Jana, św. Katarzyny i na placu za Ostrą Bramą. Najlicniejszy zespół baterii artylerii (wówczas przesadnie mówiono około 80 armat) był rozmieszczony w ogrodzie, zwanym Cielętnikiem, między Bazyliką, a Górą Zamkową od wschodu, w cieniu parku lub pod konarami drzew świątyni. Piechota zajęła pozycje na peryferiach i w samym mieście, gdzie usadowiła się na wysokich balkonach i wieżach, mając w polu widzenia place i ulice miasta. Ktokolwiek z ludności cywilnej ukazał się na nich w czasie oblężenia, był przedmiotem ostrzału. Chodzenie lub przechodzenie ulic często kończyło się śmiercią. Tak np. zginął Antoni Rynkiewicz, który szedł do siostry, zamieszkałej przy ul. Ludwisarskiej. Zginął od kuli niemieckiego żołnierza, który siedział na rogu ul. Ludwisarskiej i Tatarskiej. Część piechoty niemieckiej okopała się na wschód od Wilenki, na zboczach Gór: Trzech Krzyży, Bekieszowej i Antokolskich.

Oblężeni Niemcy mieli za zadanie jak najdłużej powstrzymać nacierające wojska radzieckie. Jak zaznaczyłem, artyleria radziecka zaczęła ostrzeliwać miasto Wilno w nocy. Największe nasilenie działalności było po północy dnia następnego, zwłaszcza przed południem. Ostrzeliwano miasto małymi pociskami, względnie szrapnelami. Kościół św. Jana i jego dzwonnica znalazły się również pod ostrzałem. Padły 24 pociski, w głębie szrapnele. Na szczęście, żaden nie trafił w okno kościoła. Natomiast bardzo ucierpiał wysoki dach, wschodnia i południowa strona kościoła i dzwonnica.

Po oblężeniu poddasze świątyni przedstawiało istne rumowisko. Od podmuchów ucierpiał witraż i okna na szczycie kościoła (wschodnia część), w jego ścianach i w dzwonnicy były nieznaczne wyrwy. Dwa pociski padły na Dziedziniec ks. P. Skargi. Należy przypuszczać, że artylerii radzieckiej zależało na unieszkodliwieniu artylerii niemieckiej na placu przed kościołem. Ten „duet” mocno dał się we znaki ludności cywilnej. Ale najbardziej męczące były nocne naloty bombowców radzieckich na pozycje artylerii niemieckiej w Cielętniku. Świst bombowców, łoskot spadających bomb, jazgot przeciwlotniczej artylerii niemieckiej, w nocy zaś oślepiające światło reflektorów - to wszystko wywierało przerażające wrażenie. Przecież nieznaczny dystans dzielił kościół św. Jana z plebanią i uniwersytet od Cielętnika (ok. 200 m). Artyleria niemiecka nie mogąc wytrzymać tych nalotów, bodaj dwukrotnie opuszczała Cielętnik, kierując się ul. Zamkową - ale wkrótce powracała. Ostatecznie opuściła swe pozycje w nocy w przeddzień ukazania się pierwszych patroli radzieckich na ulicach miasta.

(Cdn.)

WACŁAW KORABIEWICZ „KILOMETR” PODRÓŻNIK - PISARZ - ETNOGRAF

Anna Wróblewska



Wacław Korabiewicz.

Któż z wychowanków Uniwersytetu Stefana Batorego w przedwojennym Wilnie nie pamięta Wacława Korabiewicza, znanego powszechnie pod pseudonimem „Kilometr” (193 cm wzrostu), założyciela Akademickiego Klubu Włóczęgów.

A było to tak. Dobrala się gromadka sympatyzujących ze sobą kolegów. Zaczęli regularnie spotykać się, dyskutować na różne tematy, a dni świąteczne spędzać na wędrownych wycieczkach. Nazwali się Klubem Włóczęgów. Jako kontrast do niemiłych im korporanckich deklów, przystroili się w czarne, fantazyjne na ucho włożone berety z barwnymi pomponami.

Chęć rozruszać społeczność studencką, wyczyniając najrozmaitsze zakawskie kawały. Ale nie tylko. Klub organizuje liczne ogólniakademię imprezy. Bierze udział w tworzeniu szopki akademickiej, w komponowaniu „żywych gazetek”, które przyjmowane były przez młodzież tłoczącą się w ognisku Akademickim wybuchami serdecznego śmiechu. Humorem, werwą, rozmachem i oryginalnością swych imprez Klub zyskał poklask i sympatię ogółu. Jedną z takich, zakrojonych na szeroką skalę akcji stanowiła propaganda produkcji krajowej i zwalczanie zagranicznej.

Pewnej niedzieli w samo południe na głównej ulicy Wilna niespodziewanie pojawia się satyryczno-humorystyczny pochód. Na jego czele kroczy przystojny brunecik, odziany w śnieżno białe spodnie tenisowe i granatową marynarkę, z czerwonym goździkiem w klapie. Parę kroków za nim dwóch włóczęgów niesie olbrzymi transparent, którego napis głosi: *Oto tu picusia macie, co angielskie nosi gacie*. Pochód jest długi i nader urozmaicony. Innego rodzaju atrakcję stanowi zorganizowane dla całego miasta, niezmiernie efektowne i barwne widowisko, oparte na miejscowej legendzie o straszliwym bazyliisku na Bakszele, którego zabija nieznany rycerz.

Klub Włóczęgów promieniuje na otoczenie, staje się coraz bardziej popularny. Duszą Klubu jest Kilometr, niespokojny duch, kresowa bujna natura. Dwoi się i troi. Jest głównym inicjatorem i organizatorem wszystkich włóczęgowskich imprez. Od wczesnej młodości pasjonujący się morzem i żeglarstwem, teraz jako student organizuje i prowadzi włóczęgowską wyprawę kajakową z Polski do Stambułu, a w następnym roku ze Stambułu do Pireusu. Wyprawa ta owocuje pierwszą książką podróżniczą Kilometra „Kajakiem do minaretów”.

Złośliwy los dał mu zły wzrok i dlatego nie przyjęto go do Szkoły Morskiej, idzie więc na medycynę, by tą drogą trafić do marynarki. Zaraz po skończeniu medycyny zostaje lekarzem na żaglowym statku szkolnym „Dar Pomorza”. Przez parę lat pływa po wodach tropikalnych, ale wydaje mu się to zbyt jednostajne, zbyt komfortowe, przerywa więc pracę, by w roku 1934 wyruszyć we dwójkę, z żoną - równie pasjonującą się żeglarstwem i tęskniącą za przygodami jak on - żaglowym kajakiem przez Morze Czarne, Eufrat, Zatokę Perską do Indii. Przeżycia z tej wyprawy utrwala w powieści „Żaglem do jogów”.

Wojna zastaje go znów na „Darze” i rzuca wraz z załogą do Anglii. Storpedowany na „Piłsudskim”, zahacza się w Londynie. Tu z własnej inicjatywy organizuje pomoc dla polskich jeńców w obozach hitlerowskich, w związku z czym zostaje przez Polski Czerwony Krzyż wysłany do Brazylii. W Rio de Janeiro organizuje placówkę PCK. Rozpoczyna ona wkrótce wysyłkę paczek i pieniędzy, hojnie ofiarowywanych przez naszą starą emigrację, do niemieckich obozów jenieckich.

Po wykonaniu zadania Korabiewicz przyłącza się do ekspedycji udającej się w głąb dzikiego interioru. W puszczech dorzeczna Amazonki wypycha ptaki dla muzeów przyrodniczych. Czini to ze wstrętem. Nazywa tę robotę „jatkami”. Odnosi się także ze wstrętem do polowań. Natomiast sama puszcza brazylijska zachwyca go i fascynuje. Wrażenia z półrocznego pobytu w dzikim interiorze przekazuje w „Matto Grosso”, swej chyba najlepszej powieści podróżniczej.

I edwie wrócił z puszczy, zaproponowano mu pracę w administracji polskich osiedli na terenie Afryki Wschodniej i Centralnej. W osiedlach tych Anglicy ulokowali polską ludność cywilną, której w 1942 roku udało się wyjść z Armią Andersa z „niebezpiecznej ziemi”. Korabiewicz przyjmuje ofertę. Droga z Brazylii do Afryki była wówczas, w końcu 1942 roku, więcej niż niebezpieczna. Przez najeżony okrętami wojennymi ocean, małym statkiem, prawie bez konwoju, przeprawia się szczęśliwie na Czarny Łód i zabiera się do pracy wśród rodaków. Gdy po dwóch latach administracja osiedli przechodzi w ręce brytyjskie, Korabiewicz kupuje stary samochód, ładuje nań żonę i dziecko i wyprawia się przez Kongo, Ugandę i Kenię do Tanganiki (patrz powieść „Kwaheri”).

Tu w 1946 roku zbieg okoliczności wtóra go na drogę etnograficzną. Staje się to dzięki temu, że Muzeum Etnograficzne w Daar es Salaam angażuje go jako zbieracza murzyńskiej sztuki i materialnej kultury. Korabiewicz rzuca się w te poszukiwania z właściwą sobie pasją. Organizuje wyprawy w głąb Tanganiki. W najprymitywniejszych warunkach, samotnie, nieraz o głodzie, plądruje Afrykę Południowo-Wschodnią wzdłuż i wszerz. Staje się bezkrywym myśliwym - tropiącym upragnioną zdobycz (powieści: „Midimo”, „Safari Mingi” i inne).

Stopniowo zyskuje sobie opinię eksperta rękodzielniczej sztuki afrykańskiej. W 1947 roku nawiązuje kontakt z Muzeum Kultur Ludowych w Polsce (obecnie Państwowe Muzeum Etnograficzne). Wysłał do Polski dwa duże transporty skrzyń z murzyńskimi „cudami”. I tak włóczęga - tramp staje się etnografem pracującym dla Kraju. To go zresztą gubi. Za „kontakty z krajem komunistycznym” dostaje od władz brytyjskich nakaz opuszczenia Tanganiki i powrotu do Anglii.

Nazajutrz po wylądowaniu w Londynie biega po egzotycznych konsulatach, szukając możliwości wyrwania się w świat. Wkrótce podpisuje kontakt na pracę lekarza w Etiopii. Tu znowu kolekcjonuje okazy miejscowego rękodzielnictwa. Odkrywa zabytki, którymi nikt dotąd się nie interesował. Zbiera piękną kolekcję rzeźbionych w drzewie krzyży wędrownych mnichów koptyjskich.

W 1957 roku Korabiewicz znów jest w Londynie, a w roku 1958 wraca do Polski. Stąd wyrusza się kilkakrotnie w daleki świat. Najdłużej, bo dwa lata, pracuje jako lekarz w Ghanie, a jednocześnie robi wyprawy w poszukiwaniu zabytków sztuki murzyńskiej na terenach Afryki Zachodniej.

Z Warszawy robi też wyprawy niedalekie, za miedzę, do Lwowa i dwukrotnie do Wilna, miasta swojej młodości. Zapytany o wrażenia z Wilna, odpowiedział: „Chodziłem na kłęczkach i płakałem”.

Związek uczuciowy Kilometra z Wilnem daje efekty. Nawiązuje on przyjacielski kontakt z grupą polskiej młodzieży, studiującej na Uniwersytecie Wileńskim. Kontakt ten inspirował powstanie polskiego Klubu Włóczęgów w stolicy Litwy. Kontynuuje on tradycję Klubu założonego przed laty w Wilnie przez ongiś Kilometra - Wacława Korabiewicza.

Jaki typ podróżnika reprezentuje Korabiewicz? Na ten temat wypowiada się on w jednym ze swych listów: *Nie należy szafować słowem: podróżnik. Podróżnik, to nie ten co podróżuje, ale ten, co kocha podróżować, dla którego pochłanianie przestrzeni i zmiana otoczenia jest konieczną potrzebą życia. Prawdziwy podróżnik, w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, to tramp - włóczęga, który obywa się byle czym, gdy zachodzi możliwość startu w świat. Nie zastanawia się, nie kalkuluje, nie drży nad zabezpieczeniem sobie tyłu.*

A dalej tak charakteryzuje samego siebie: *Mój stosunek do życia jest bardzo specyficzny.*

Drwię z komfortu i godności, z ustalonych powag i autorytetów. Lekkożylnie zrywam wszelkie okazy do zagrożenia miejsca dla tak zwanej kariery, wykonując nowy skok, beztrojsko palę za sobą wszelkie mosty. Nie znośę ułatwych szlaków, wciąż wędzę i szukam niespotykanych dotąd sytuacji. Podstawą moich wszystkich włóczęg jest samowystarczalność. Jestem w swych włóczęgach całkowicie niezależny finansowo, potrafię pasa zacisnąć w głodówce, tłoczyć w najgorszych zajazdach, ale wszystkie wydatki pokrywam wyłącznie z zarobionych przeze mnie pieniędzy.

Jedyną szpilką, która trzyma mnie przy życiu, jest moja twórczość, - napisał potem w jednym z listów.

Wyznanie to potwierdza fakt, że jest on autorem około trzydziestu książek. Twórczość literacką zaczyna jeszcze w Wilnie, początkowo od poezji. Jest aktywnym członkiem wileńskiej grupy STO (Sekcja Twórczości Oryginalnej przy Kole Polonistów). Wydaje kilka zbiorów poezji. Wśród nich na uwagę zasługuje „Rapsod o głowie hetmańskiej”. Jest to poetycka fantazja o głowie hetmana Żółkiewskiego, odciętej przez Turków na polu kłeski pod Cecorą i zawieszonej do Stambułu. Autor nawiązuje tu do tradycji pieśni epickich, świadomie wybierając formę dwunastozgłosekowej ballady. Ciekawe, że swój rapsod o XVII-wiecznym polskim hetmanie napisał zaszyty w dzikim buszu Czarnej Afryki.

Korabiewicz znany jest przede wszystkim jako autor bardzo poczytnych powieści podróżniczych. Jest pisarzem przygody i piękna przyrody. Gdy jego życie staje się nieustanną włóczęgą po



Zdjęcie na pamiątkę z członkami Klubu Włóczęgów Wileńskich w warszawskim mieszkaniu w 1992 roku.

Fot. Archiwum

egzotycznych zakamarkach świata, każda z jego wędrowek owocuje jedną lub kilkoma powieściami. Pisz niezmierznie żywo i obrazowo, stylem gawędziarskim, wybitnie zindywidualizowanym. Uderza zafascynowanie egzotycznym krajobrazem: puszcza brazylijską, bezdrożami Indii, Czarą Afryką. Odkrywa przed czytelnikiem ich pierwotne piękno.

Przygoda, przyroda i zwierzęta - to wielka miłość autora. W zetknięciu się człowieka ze zwierzęciem zawsze staje po stronie zwierząt, ma do nich stosunek bardzo ciepły, niemal braterski.

Oto Kilometr i jego żona płyną po rzece Indus, nad nimi, zwabiony widokiem kromki chleba na pokładzie, krąży uparcie sęp. Zatrzymują się więc i stają na brzegu, tuż przy łodzi, ciekawi dalszego zachowania się ptaka.

Sęp jakby tylko na to czekał, zwinął skrzydła i niby ciężka topoczka kula zwalił się na kajak, poderwał pazurami śniadanie i ruszył z powrotem w górę (...). Zaiste dziwne tu panują obyczaje. Człowieka, którego w Europie każde stworzenie omija z daleka, jak najgorszego wroga, tutaj traktuje się na równych prawach z małpą czy sępem, psem czy hieną. Jest takim sobie równouprawnionym konkurentem do jednej i tej samej kromki chleba (...). Takie kamrackie stanowisko odpowiada mi stu procentowo. Odtąd patrzę na ptaki, ryby i inne biegające stworzonka jak na kolegów i gdyby rozumiały ludzką mowę, pytałbym o pozwolenie na zajęcie tej lub innej polany pod obóz. Wszak oni tu gospodarzami, ja - intruz europejski. („Żaglem do jogów”)

Ludzi autor „Sztuki Afryki” pokazuje dość powierzchownie, interesują go przede wszystkim z punktu widzenia ich egzotyki.

Korabiewicz ma ogromne zasługi jako etnograf. Znawca i miłośnik kultur Czarnego Łądu, prócz Afryki Wschodniej i Centralnej spenetrował gruntownie Ghanę, Republikę Górnej Volty, Republikę Mali, Niger, Nigerię, Togo, Dahomej, Kamerun i Etiopię. Swe zarobki lekarskie przeznaczał na ekspedycje poszukiwawcze, zakup i transport eksponatów do Kraju.

Unikalną kolekcję rzeźbionych w drzewie krzyży wędrownych mnichów kopijnych ofiarował Muzeum Narodowemu w Warszawie. Od 1978 roku w muzeum tym istnieje stała wystawa kolekcji Wacława Korabiewicza, zatytułowana „Krzyż koptyjski i jego naśladownictwo”. Zbiór masek rytualnych i inne eksponaty sztuki murzyńskiej przekazał Państwowemu Muzeum Etnograficznemu. Jest autorem prac: „Sztuka Afryki”, „Śladami amuletu”, „Krzyż koptyjski”.

Korabiewicz zmarł mając lat 90, 15 lutego 1994 roku. Zgodnie z wolą Zmarłego prochy jego zostały zatopione w morzu. Pogrzeb zorganizowała Wyższa Szkoła Morska w Gdyni. Był do końca w serdecznym stosunku z tą Szkołą i jej dedykował swoją ostatnią książkę „Z „Daru Pomorza” na... bezdroża”. Inauguruje ona powstałą w 1993 roku serię wydawniczą „Księgi floty ojczyjstey”.



Zgodnie z wyrażoną w testamencie wolą Wacława Korabiewicza, Jego prochy znalazły wieczny spoczynek w morzu. Po oddaniu hołdu banderą urna pogrzebowa została wrzucona do wody...

Towarzystwo „Oświata” w Poniewieżu

Mieczysław Jackiewicz

Jeszcze nie zakończyła się pierwsza wojna światowa, a na Litwie trwała okupacja niemiecka, gdy Polacy w Poniewieżu pomyśleli, by wskrzesić swe życie oświatowe i kulturalne. 29 listopada 1918 roku odbyło się zebranie, głównie inteligencji i ziemiaństwa, na którym uchwalono powołanie Polskiego Towarzystwa „Oświata”. Założycielami byli Joanna Zawiszanka, Bronisław Krasowski, Teodor Ludkiewicz, Zygmunt Staniewicz i Aleksander Witort. Statut Towarzystwa został zatwierdzony przez władze okupacyjne w 1919 r., następnie w 1922 roku przez władze litewskie.

Na początku istnienia Towarzystwa członków było tylko 52. W 1939 roku, u kresu swej działalności, Towarzystwo liczyło ich przeszło 400. Istniały ogniwa „Oświaty” w Birżach, Skowrodach, Wieszyntach i Wodoktach Leśnych.

Jednym z zadań „Oświaty” było założenie gimnazjum polskiego, które powstało w Poniewieżu w 1919 r. Pisałem o tym w „Znad Wilii” (12/94). Dodam tutaj, że gimnazjum poniewiejskie zakończyło ponad 400 osób. Wielu z jego absolwentów po wojnie zamieszkało w Polsce. Niedawno do moich rąk trafiły wspomnienia p. Teodora Dąbrowskiego z Nowej Soli, który pisze m.in.: *Pierwszymi nauczycielami byli Feliks Jelec, Kazimiera Bukowska, Łosowska, Straszewicz. Nie było podręczników. Mój ojciec, Antoni Dąbrowski, miał konia i trochę ziemi. Raczej koniem zarabiał na życie. Ojciec z p. Jelecem jeździł do Wilna po książki i podręczniki. Później, gdy dyrektorem został Hipolit Pereszczako, ojciec i z nim jeździł do Wilna po książki i podręczniki. Podróże były bardzo niebezpieczne, bo po wojnie grasowały bandy rozbójników. A przez granicę musieli jeździć potajemnie. Ojciec był odważny (sierżant artylerii carskiej) i znał różne sposoby przejścia przez granicę, miał wielu znajomych. Pamiętam opowiadał, że pieniądze na kupno książek chował do torby z obrokiem dla konia. Jak pojechał ostatni raz do Wilna, nie było ich 16 dni. Ale wrócili z książkami. Miał jakieś przygody, o których nie chciał mówić. Był bardzo pobity i potem długo chorował.*

Poza gimnazjum „Oświata” prowadziła polskie szkoły powszechne. W 1922 roku pod opieką Towarzystwa było 10 szkół i 344 uczniów uczących się wyłącznie po polsku. W 1925 r. było już 6 szkół i 327 uczniów, a w 1937 r. pozostały zaledwie 3 szkoły powszechne: w Poniewieżu, Birżach i Adampolu, w których uczyło się 70 dzieci.

Towarzystwo „Oświata” prowadziło ochronkę polską dla ubogich dzieci, której założycielką i opiekunką była Maria Ludkiewiczowa. Kierowniczką ochronki była, jak podaje T. Dąbrowski - p. Szarawska, a wychowawczynią - Zofia Jeleniewska.

Dla dzieci urządzano „choinkę” z muzyką, przedstawieniami i podarunkami. Latem organizowano kolonie letnie w ofiarowanej przez I. Bohuszewicza posiadłości Urwisko pod Krakowem.

Drugim obok szkolnictwa ośrodkiem działalności „Oświaty” były biblioteki, których Towarzystwo jeszcze w 1939 roku posiadało 8: w Poniewieżu (przeszło 5 tys. tomów) oraz w Adampolu, Birżach, Rogowie, Skowrodach, Traskunach, Urniażach i Wodoktach Leśnych. Były też świetlice wiejskie, ale zlikwidowano je najwcześniej, ponieważ „przeszkadzały” działalności organizacjom litewskim, np. Związkowi Szaulisów.

„Oświata” do końca swego istnienia prowadziła działalność teatralną. Szerzej napiszę o tym później. Chcę tylko przypomnieć, że sekcja dramatyczna „Oświaty” miała ogromne zasługi. Zespół grał sztuki Aleksandra Fredry, Juliusza Słowackiego, Stanisława Wyspiańskiego, Michała Bałuckiego i innych polskich autorów. Na

przedstawienia zjeżdżali się Polacy z całego powiatu, a nawet z odległych miejscowości. Po przedstawieniu zazwyczaj organizowano bale. Co roku wystawiano 2 lub 3 sztuki polskie. Przedstawienia reżyserowali Zygmunt Szwoynicki, Zbigniew Chomiński i Henryk Jatowtt.

Poza tym w latach 1925-1930 przy „Oświacie” istniała sekcja gimnastyczno-sportowa „Urusus”, która w 1931 r. weszła do Polskiego Klubu Sportowego „Sparta”. Klub ten w 1937 roku został zamknięty przez władze litewskie, rzekomo z powodu nie dostarczenia na czas znowelizowanego statutu.

Prezesem Rady Towarzystwa „Oświata” od 1931 r. do r. 1940 był mecenas Teodor Ludkiewicz. Był on też pierwszym prezesem Zarządu. Po nim do 1922 roku prezesem Zarządu była Anna Jakubowska, a po jej śmierci, od 1922 do 1932 r. - Feliks Jelec, następnie w latach 1932-1938 - Henryk Jatowtt, a w okresie 1938-1940 - Andrzej Charmański. Sekretarzem Zarządu przez całe dwadzieścia lat była Maria Ludkiewiczowa.

Prezesem Ogniwa w Birżach był przez całe dwudziestolecie Stanisław Ordyniec, w Skowrodach - Maria Giedgodowa, w Wieszyntach - Henryk Grotkowski, w Wodoktach Leśnych - Jarosław Gudowicz.

Niezwykle uroczyste obchodzono w Poniewieżu jubileusz dwudziestolecia Towarzystwa. Uroczystość odbyła się 4 grudnia 1938 roku. Z tej okazji dziennikarz „Dnia Kowieńskiego” pisał: *Jakże wielką jest nasza radość, jak uzasadnioną jest nasza duma, gdy obchodzimy dwudziestoletni jubileusz poniewiejskiego Towarzystwa „Oświata”, jak głęboka jest nasza cześć dla jego założycieli i kierowników, jak wreszcie silnym jest pokrzepienie wiary w naszą przyszłość, gdy widzimy, że zasłużona ta instytucja, dzień po dniu walcząca od szeregu lat z najroźnialszymi przeciwnościami, trwa, pomimo wszystko, na stanowisku i nie straciła nic ze swej odporności, z wiary i woli zwycięstwa. A przeciwności tych na drodze Towarzystwa było wiele: oprócz tak dobrane nam znanych trudności ze strony władz, poza nieprzychylnym stosunkiem społeczeństwa litewskiego, przybierającym nieraz formy bardzo ostre - były liczne inne przeszkody, jak trudna do przezwyciężenia inercja szerszych kół własnego społeczeństwa, nie zawsze w należytych stopniach popierającego poczynania „Oświaty”, jak wielkie trudności finansowe, jak brak ludzi, mogących brać udział w tej ciężkiej i odpowiedzialnej pracy, przez co jej kierownicy stale byli przeciążeni, i wiele innych. Pomimo to wszystko - praca szła i dawała wyniki nad podziw dobre.*

Warto podkreślić, że w okresie pierwszych dziesięciu lat niepodległości Litwy praca oświatowo-kulturalna Towarzystwa „Oświata” prowadzona była pospół z Litwinami na zasadzie całkowitej równości w dążeniu do wspólnych celów - krzewienia oświaty i uświadamienia narodowego w obu grupach etnicznych. Niestety, w drugiej połowie lat 30. władze litewskie odsunęły swoje struktury oświatowe od polskiego Towarzystwa i stopniowo zaczęły likwidować bogaty dorobek „Oświaty”. Przed samą wojną zostało tylko kilka bibliotek, 3 szkoły powszechne i gimnazjum w Poniewieżu oraz zespół dramatyczny. Pozostali ludzie z „Oświaty”, którzy w większości przetrwali drugą wojnę światową, wyjechali do Polski i tu włączyli się do działalności na polu oświaty i kultury. Należy wspomnieć, że do grona najbardziej aktywnych członków należeli: Teodor i Maria Ludkiewiczowie, Kazimiera Bukowska, St. Domaszewicz, Andrzej Charmański, Zbigniew Chomiński, Henryk Jatowtt, W. Snarski, Zygmunt Szwoynicki, Br. Kosarski, M. Lausówna, A. Pietrzkiewicz, E. Rahden, Teodor Dąbrowski i wielu innych.

Owocna działalność Towarzystwa „Oświata” w trudnych warunkach politycznych na Litwie może być dobrym wzorem dla dzisiejszych organizacji polskich na Wileńszczyźnie.

Przed 60 laty prasa wileńska donosiła...

Wywóz grzybów

W roku bieżącym podjęto na większą skalę wywóz grzybów świeżych, przede wszystkim do Francji i Niemiec. Z głównego okręgu produkcji, a mianowicie z województwa wileńskiego wysłano w lipcu przeszło 25 tys. kg. grzybów. Eksporterzy grzybów uskarżają się jednakże, że na rynku niemieckim spotykają się z poważnymi utrudnieniami w związku z obowiązującymi tu przepisami dewizowymi.

Zapominalscy wilnianie

O krótkiej pamięci wilnian najlepiej mogą poświadczyć konduktorzy autobusowi i policja. W ciągu sierpnia i pierwszych tygodni września w autobusach i miejscach publicznych zostawiono lub zgubiono 63 parasole, 18 lasek, 47 rękawiczek, 21 książek, 3 czapki, 12 kapeluszy, 7 torebek damskich (2 z pieniędzmi), 1 butelkę z mlekiem i smoczkiem (mleko już skwaśniało), 3 zapalniczki, 6 papierosnic z papierosami i bez, 1 rulonik planów budowlanych i mnóstwo innych rzeczy.

Niezależnie od tego znaleziono w tym okresie większą ilość zgubionych dzieci, o których najpewniejszych informacji może udzielić wydział opieki społecznej magistratu.

Kronika administracyjna

W ciągu ub. niedzieli na terenie Wilna sporządzono 12 protokołów karnych za niedozwolony handel w święta. Władze administracyjne przeprowadziły w ostatnim tygodniu w mieście lustrację piekarni i zakładów mięsnych oraz wytwórni konserw. W wyniku stwierdzono, iż kilka piekarni w mieście nie odpowiada absolutnie higienicznym i technicznym normom i w związku z tym mają być one zamknięte (...). Podczas jednej z ostatnich rewizji w piekarniach wyszło na jaw, że piekarze sprzedają pieczywo mniejszej wagi niż są obowiązani.

Słaba walka z żebranią w Wilnie

Według danych w ciągu pierwszego półroczu z miasta usunięto przeszło 100 żebraków. Mimo to ulice wprost roją się od nich. Sklepy spożywcze, biura, restauracje, kawiarnie, piekarnie i mieszkania są oblegane przez żebraków i różnych włóczęgów.

Jak wiadomo, w Wilnie istnieje organizacja żebracza, która wydaje polecenia i wszelkie instrukcje członkom, którzy starają się wyrobić w mieście sobie stałą klientelę. Policja epidemii żebraczy w Wilnie tępi łagodnymi środkami.

Wszyscy na Porubanek!

Takie jest hasło dnia. Będziemy świadkami jednego z etapów Challenge'u. Przez Wilno przeleca uczestnicy wielkiego rajdu powietrznego, obliczonego na 10 tys. km. Porubanek będzie terenem lądowania i startu.

Tuż za wielkimi hangarami lotniczymi rozciągnęła się biała linia lądowania, która jest zaopatrzona w ogromną strzałę, leżącą na zielonej murawie. Strzała ta wskazuje kierunek lądowania, a opodal wetknięta jest flaga. Każdy samolot musi przelecieć nad linią lądowania, gdzie zostanie zmierzony czas przylotu. Lotnik będzie mógł zatrzymać się, nabrać benzyny czy też odpocząć po nużącej drodze. Spod trybun odbywać się będzie start samolotów do dalszego lotu do Warszawy. Lądowanie w Wilnie jest o tyle ważne, że odcinek Lwów-Wilno uważany jest przez wszystkich niemal lotników za bardzo trudny, a wręcz niebezpieczny. Łatwo jest zbłądzić opóźniając przylot, lądowanie.

Fotografia uliczna

Ostatnio z ulic i ogrodów znikli niemal wszyscy uliczni fotografowie, których poprzednio spotykało się bardzo często. Przyczyna tego tkwi w tym, że na wykonywanie ulicznego fotografowania władze wymagają specjalnej licencji. Bez niej proceder ten jest wzbroniony. Fotografowanie dozwolone jest w parkach, ogrodach i na ulicach. Natomiast całkowicie wzbronione jest dokonywanie zdjęć amatorskich w obrębie kolejowym i na terenach wojskowych. W wypadku pochwycenia amatora-fotografa na gorącym uczynku fotografowania powyższych obiektów czeka go surowa kara.

Przy fotografii ulicznej niektórzy z przechodniów dają znak ręką, że nie chcą być fotografowani, wówczas fotograf nie ma prawa robić zdjęcia - bez narażenia się na sporządzenie protokołu.

Dożynki w Szumsku

Dn. 9.09.1934 odbyła się wielka uroczystość w gminie szumskiej. Z inicjatywy miejscowych organizacji i społeczności utworzono Komitet Pomocy Powodzianom, który zorganizował imprezę dochodową pod tytułem „Dożynki Gminne”.

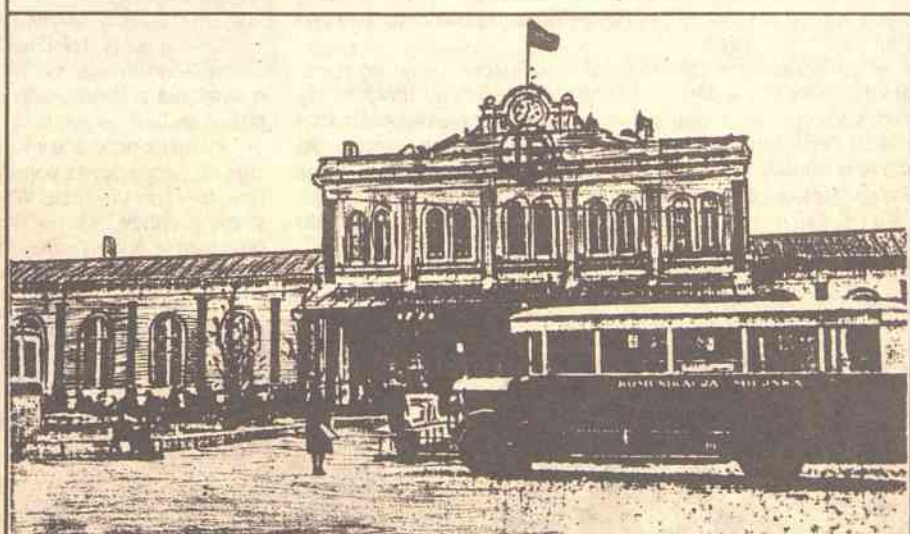
Tego dnia z rana rozpoczęto uroczystość nabożeństwem, poczym wszystkie organizacje zebrały się koło urzędu gminy, skąd po ustawieniu się w szyku marszowym pomaszzerowano na plac rynkowy, gdzie się odbyła uroczystość składania wieńców przedstawicielom władz samorządowych, - popisy tańców ludowych, śpiewu, deklamacji oraz muzyki (...). Wieczorem wyświetlono film nadesłany przez Instytut Szerzenia Kultury na Wsi.

Czysty dochód, który obecnie nie jest jeszcze całkowicie obliczony, zostanie przekazany dla powodzian. Zaznaczyć należy, że w tym dniu było 12 zespołów orkiestr z gminy szumskiej, które się popisywały swoimi utworami muzyki ludowej. Na zakończenie odbyła się zabawa tańeczna przy dźwiękach owych zespołów.

(„Kurier Wileński”, wrzesień 1934 r.)

Opr. Halina Sworobowicz

To, co było... Pocztówka ze starego albumu



Wysłałem powielony widok z fotografii Dworca Kolejowego w Wilnie. Tak wyglądał on w latach 30. Część Dworca zastąpiona jest przez „Arbon”. Po wejściu do gmachu dworcowego po prawej stronie były pomieszczenia pierwszej klasy i bufet. Pamiętam, stały tam egzotyczne palmy. Na widocznym mamy inicjały „J.P.” - Józefa Piłsudskiego. Wystawiane one były 19 marca - na imieniny Marszałka. W ten dzień bardzo często przyjeżdżał z Warszawy do Wilna. Przybiegałam wraz z dziewczynkami, by powitać Piłsudskiego, gdy wychodził od strony właśnie pierwszej klasy. Witaliśmy wszystkich serdecznie, w pamięci pozostał jego dobroduszy uśmiech. Po przywitaniu „poganiał” nas do szkoły...

Potem uciekliśmy przed wywózką do ZSRR. Jednak męża zabrano z pracy, ojciec za Stalina siedział 8 lat, a miał dożywić. Los wielu Polaków, jeśli się nie dopełnił wtedy Syberią, to był doświadczany więzieniem... Mąż skończył szkołę na Holenderni i pracował na kolei, był kierownikiem robót w Warsztatach Wagonowych. Stąd życie moje w tamtych czasach związane było też z koleją, a Dworzec Wileński zawsze przynosi wiele wspomnień.

Janina Jasiewiczowa, Wrocław, Polska

MOJA POLSKA

Grażyna Tatiana Szyszowa z Moskwy

W bibliotece na Jasnej Górze

Dotychczas pamiętam swoją pierwszą podróż do Polski - jakby to nie było siedem lat temu, tylko wczoraj.

Wczesna wiosna, deszcz, smugami ociekający po szybie wagonu, a ja patrzę przez to okno ze zmieszaniem uczuciem tęsknoty, zdziwienia, niepokoju i szczęścia - jadę do Polski, ale jaka jest ta Polska, prawdziwa? Czy taka, jaką ją wyobrażałam sobie, słuchając opowiadań babci? Już byłam na tyle mądra, że rozumiałam: rzeczywistość nie zgadza się z marzeniem, do raju się nie wjeżdża pociągiem...

Ale nie byłam rozczarowana. Ani tego, pierwszego razu, ani w ciągu następnych. A pierwszy pobyt w Polsce - to jak pierwsza miłość...

Mieszkaliśmy w Gnieźnie, gdzie przyjeżdżałam na zaproszenie Katarzyny Pieniowskiej-Sych i jej cudownej rodziny. To teraz wydaje się niby niewielką - wycieczką - rzeczą, ale siedem lat temu zaprosić do siebie na Święta Wielkanocne cudzoziemkę z Moskwy - to był wyczyn i poświęcenie. Nawet jeśli jest polskiego pochodzenia. Któż mógł ręczyć, że nie jest ateistką? I co, zmarnowane święta - bo mus gościa zabawić? Ale szczęśliwie się złożyło, że byłam katoliczką, a przez ten miesiąc mojego pobytu w Gnieźnie zaprzyjaźniliśmy się z sobą, poculiśmy się rodziną. Tak, dla mnie Gniezno jest teraz nie tylko pierwszą stolicą Polski, ale miastem bardzo bliskim, drogim i kochanym, miastem, gdzie mieszkają drodzy, bliscy ludzie.

Ten pierwszy miesiąc w Polsce wspominam jako okres całkowitego szczęścia. Jeżeli może być raj na ziemi, to dla mnie było nim Gniezno. Budziłam się rano, patrzyłam na słoneczne promienie wpadające przez okno, słuchałam szczeniaka psów na ulicy i myślałam: Boże, jakże jestem szczęśliwa w Polsce! Był kwiecień, słoneczny i złoty od kwitnących forsycji (niedawno w Moskwie, zobaczyłam w ogrodzie firsycję i ucieszyłam się, jakbym znienacka spotkała najlepszego przyjaciela w obcym mieście). Chciałam zobaczyć jak najwięcej, jak najlepiej Polskę poznać i moi gościnni gospodarze - państwo Pieniowscy i Sychowie - pomagali mi w tym, podpowiadając, gdzie jeszcze można pójść czy pojechać, u kogo z ich krewnych się zatrzymać. Zwiedzałam najrzadsze zabytki, oglądałam najcudniejsze rzeczy. Wymieniłam chociażby bibliotekę na Jasnej Górze i skarbiec gnieźnieński Katedry.

Zresztą, biblioteka jasnogórska - to osobna sprawa. Po prostu miałam niesłychane szczęście, że znalazłam się w odpowiednim miejscu w odpowiedniej chwili - a wszystko przez czeską wycieczkę, która ciągle przeszkadzała nam z Kasią oglądać jasnogórskie muzea. Ale zaczęłam od początku...

Na Jasną Górę wstąpiliśmy podrodzic - wracając z Warszawy do Gniezna. Miałymy trochę

czasu na modlitwę i obejrzenie klasztoru, ale trzeba było zdążyć na pociąg do Poznania o 16 z minutami, a przedtem koniecznie chciałyśmy zobaczyć skarbiec, otwierany o godzinie trzeciej. Tempo było nierówne - najpierw mogłyśmy spokojnie zwiedzać wszystko, co się dało, pamiętając, że na końcu czekają nas wyścigi do dworca przez całe miasto. Zwiedzałyśmy więc jasnogórskie muzea dokładnie, nie śpiesząc się, do godziny trzeciej czasu było pod dostatkiem. Ale w zwiedzaniu ciągle nam „przeszkadzała” wycieczka z Czech - młode dziewczyny mniej więcej w naszym wieku - ze swoim przewodnikiem.

Jestem pewna, że każdy miłośnik zabytków i sztuki mnie zrozumie. Tak właśnie się zdarza - dopiero się zatrzyma przy najbardziej interesującym ekspozycie, gdy na salę wpada wycieczka i oczywiście wali do tej samej gabloty - ze swoim przewodnikiem, hałasem i tłokiem. Wydawało się, Czeszki i ich przewodnik ganiają za nami po całym klasztorze: gdzie byśmy nie poszły - wycieczka za nami. A Czeszki chyba były przekonane, że to właśnie my zawzięłyśmy się na nie. Tak dłużej trwać nie mogło. Kiedy uprzykrzona wycieczka wdarła się za nami do Sali Rycerskiej, postanowiłyśmy nie wychodzić z tego muzeum, a poczekać na schodach, zobaczyć, dokąd pójdą dalej, żeby udać się w przeciwnym kierunku. Czekaliśmy cierpliwie, słyszałyśmy ich kroki i głosy, ale żadna z Sal Rycerskiej obok nas do wyjścia nie przeszła, natomiast gdzieś z góry zabrzmiało: „...A ostatnia zamyka drzwi...”

Spojrzałyśmy po sobie - a cóż to, jakieś nieznanne muzeum? Po chwili Kasia leciała na górę, a ja - za nią. Przekonywała zgorszona siostrę zakonną, żeby pozwoliła nam też wejść.

„Proszę pani, tu kobietom nie wolno wchodzić! To klasztor męski!” - broniła młodziutka siostra drzwi. „A one to weszły! Czemu więc nam nie wolno?” - „Ale to wycieczka z Czech!” - „A my z Moskwy!” Byłam ostatecznie skonfundowana, bo doskonale rozumiałam, że to przeze mnie Kasia tę awanturę robi, żeby mnie absolutnie wszystko w Polsce pokazać! Na hałas wyszedł jeden z księży-paulinów (pewnie chciał zobaczyć, jak te awanturnice moskwiarki wyglądają - w 1987 roku goście od nas na Jasnej Górze było niewiele) i uprzejmie pozwolił nam wejść. Tak się znalazłam w bibliotece. Niesłychany zaszczyt i szczęście.

Dwa obrazy

Chcę teraz opowiedzieć o zwiedzaniu skarbcza w Katedrze Gnieźnieńskiej, bo tam właśnie



Katedra Gnieźnieńska ze strony Rynku.

Fot. Aleksander Szyszow

przekonałam się, jak się związały ze sobą losy dwóch krajów - Polski i Litwy. Każde miasto ma swój wdzięk, architekturę, swój niepowtarzalny nastrój. Tu Katedra z ciemnej cegły, o dwóch potężnych wieżach i figurach świętych na dachu - na wysokim wzgórzu, ponad lustrzaną taflą jeziora Jelonia - stoi od czasów Bolesława Chrobrego jak żywe uosobienie minionych wieków. Przechodząc obok jej murów, ma się uczucie, że dopiero wczoraj Chrobry wjeżdżał do miasta z kolejnej wyprawy, a święty Wojciech wyruszał na spotkanie męczeńskiej śmierci w pogańskich Prusach. To było tysiąc lat temu. Tyle jeszcze różnych zdarzeń było w ciągu tego czasu - ciężar wieków krępił w ciemnych ceglach - chwila po chwili przez cały tysiąc długich lat...

Coś podobnego czułam i w skarbcu katedry - w zimnym półmroku sali, wśród oświetlonych gablot, za którymi była Historia Polski. Przyglądałam się świętym pamiątkom i miałam uczucie, że to Historia patrzy na mnie.

Wśród innych drogotycznych zabytków pokazano mi srebrny obraz na ścianie. Książ, który nas oprowadzał po muzeum, już wiedział o moich litewskich korzeniach, dlatego na ten właśnie obraz zwrócił szczególną uwagę.

Takie obrazy były dwa. Namalowano je w Wiedniu na zamówienie Katarzyny Habsburszanki, żony Kazimierza Jagiellończyka - jeden dla Katedry Gnieźnieńskiej, ponieważ Gniezno było pierwszą stolicą Polski, a drugi - dla Katedry Wileńskiej, jako prezent dla Księstwa Litewskiego.

Jeszcze przed wojną, w roku 1939 przynajmniej, obydwa obrazy znajdowały się na swoich miejscach - jeden w katedrze w Gnieźnie, drugi - w katedrze w Wilnie, ale co się stało z tym drugim po wojnie - tego już tu nie wiedzieli.

Próbowałam się dowiedzieć o losach zaginionego obrazu, pytałam się w Wilnie - najpierw w Muzeum Sztuk Pięknych, które wówczas się mieściło w katedrze - ale uprzejme panie z muzeum nic o srebrnym obrazie nie wiedziały. Tak samo księża w katedrze, kiedy znowu zaczęła funkcjonować jako świątynia. Zresztą, do Wilna przyjeżdżałam na krótko - trudno oczekiwać jakichkolwiek rezultatów po tygodniowym pobycie w tym mieście.

Od dawna chciałam napisać o tym - właśnie do „Znad Wilii”. Byłam pewna, iż Katedra Wileńska też się interesuje losami swoich zaginionych skarbów, i może już coś odnaleźli. A jeśli jednak nie, być może wtedy uda się nam, czytelnikom „Znad Wilii”, ten obraz - albo przynajmniej jego ślady - odnaleźć i przyczynić się do zwrotu jego prawowitemu właścicielowi. Ofiaruję i swoją pomoc, o ile mogę być pomocna w swojej dalekiej Moskwie. Tak bardzo chcę, żeby srebrny obraz, zamówiony przez Katarzynę Habsburszankę, znowu był na swoim miejscu - w Katedrze Wileńskiej.

Wilno, moja miłość...

Kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych byłem w Wilnie, miałem okazję spotkać się z przedstawicielami kasty poetów polskich tego miasta. W większości byli oni skupieni w Kole Literackim, mieli jeszcze przed sobą debiuty książkowe, ale sporo już opublikowali, a w szufladach leżały zapewne kolejne wiersze. O ile dobrze pamiętam - namawiałem ich do odrzucenia w poezji całej tej wileńskiej otoczki widocznej w wielu utworach. Raziło mnie wtedy, i to wrażenie pozostaje do dziś, zbyt proste, zbyt namacalne operowanie wileńskością, jako atrybutem wiersza. Wiem, że Mickiewicz ciążył nad miastem jak Wawel nad Krakowem, wiem też, iż przyroda Wileńszczyzny jest taka, że nie można jej ominąć i wprasza się ona wręcz do poetyckich zapisów i wiem wreszcie, że nigdy od Ciebie miasto nie mogłem odjechać, cytując znanego wszystkim poetę z Szetejń.

Ale, gdy czytam kolejny utwór, gdzie jak kawa na ławę wyskakuje Wilno, to wyraźnie potrzebuję jakiejś odtrutki. Oczywiście najlepsi twórcy mają już ten etap za sobą, a jeżeli potrąca czasem tę strunę to w sposób tak subtelny, że tym mocniej, choć niezauważalnie, Wilno dociera do odbiorcy. Jednak wciąż pojawiają się nowi artyści. Wciąż też w Polsce każdy człowiek z Litwy musi być skojarzony z Wilnem. Aż prosiłby się tutaj jakiś „Zielony Balonik”, czy coś podobnego, gdzie całe to zjawisko zostałoby wykpiwane, aby można było o mieście mówić bez koturnów, bez nadęcia, bez tego olbrzymiego przytłoczenia historycznego, jakie istnieje dziś.

Przeglądałam tomiki wierszy autorów z Wilna. Aż sześciu z nich wrzuciło Wilno do tytułu swych zbiorów. Także książki wydane w Polsce to albo „Tobie Wilno”, albo „W stronę Wilna” (ileś razy ten tytuł się powtarza), albo „My z Wilna”. Ewentualnie może się też pokazać Wilia w różnych kontekstach. Podobnie gdy popatrzyć na czasopisma: „Kurier Wileński”, „Magazyn Wileński”, całe szczęście, że jest też „Nasza Gazeta”. A najważniejsze zespoły to przecież „Wilia” i „Wileńszczyzna”, choć jest też wiele „Stokrotek” i innych „Pierwiosnków”, wiem.

Słowem - od Wilna nie można odjechać. Ale mi nie idzie o jakąkolwiek ucieczkę w sensie fizycznym, czy kompletne unikanie tej nazwy. Jednak byłoby dobrze, gdyby nie wisiła jak jakieś *memento* nad wszystkim, co się w tej części Europy i świata dzieje. Żeby nie była obowiązkiem patriotycznym. Jedyną drogą. Czynnikiem nieuniknionym.

Gombrowicz namawiał w swoich pamiętnikach, w całej swej twórczości, żeby Polak przestał klęczeć przed Polską. Nie bądź tylko ty dla niej, niech ona będzie dla ciebie - sugerował. Najpierw bądź sobą, bądź człowiekiem, Polakiem jesteś na końcu. I to bycie nie jest najważniejsze w twoim życiu.

I mnie właśnie o takie gombrowiczowskie rozumienie Wilna (i tego co je otacza) chodzi. Bez względu na czas i sytuację. Zawsze bowiem jest jakiś czas i jakaś sytuacja. My, Polacy, lubimy się ustawiać w pozycji oblężonej twierdzy. Nie czas na swary - mówimy - wróg (jaki wróg?) atakuje, zwierajmy szeregi. Żadnych podziałów w naszym obozie, żadnego pluralizmu. Trzymamy się wszyscy razem, mamy jedno zdanie: Wilno, Wilnem, Wilnu... A może: ja, ty, on?!

Takie zapatrzenie się w jeden kierunek, widzenie tylko Wilna zubaża, według mnie, twórczość i wszelką działalność, zawęża punkt widzenia. Wolałbym więc czytać np. tygodnik „Europa”, dziennik „Głos poranny”, miesięcznik „Kontekst” itp, oczywiście zakorzenione i nie umykające od tej tematyki, która jest charakterystyczna dla wileńskiej małej ojczyzny. Bo właśnie nie poprzez małe ojczyzny realizujemy się, w oparciu o nie powstają największe dzieła artystyczne. Tylko niekoniecznie trzeba wszędzie o tym Wilnie trąbić.

Eugeniusz Kurzawa

Podpisano do druku 1 października 1994 r.

ZNAD WILII
1994.10.03

7



Spojrzenie na Kraków z lotu ptaka.

Fot. Romuald Mieczkowski



EUROTURIZMO CENTRAS
Z firmą „Euroturizmo centras”

Podróż samolotem szybsza - autokarem tańsza!
ul. Basanavičiaus 29a, Wilno, tel.: 63-65-70, 65-11-76.

- **WŁOCHY**, wypoczynkowa, autokarem, 11-dniowa, 6 noclegów nad Adriatykiem. 10.05, 10.31. (1000 Lt).
- **WŁOCHY**, autokarem, 11-dniowa, 6 noclegów. Wycieczki do Wenecji, Florencji, Rzymu, Watykanu, San Marino. 10.05, 10.31. (1530 Lt).
- **PARYŻ**, samolotem, 4 noclegi w Paryżu, każdego poniedziałku. (2200 Lt).
- **PARYŻ**, autokarem, 7-dniowa, 4 dni w Paryżu, 1 - w Berlinie. 10.17. (800 Lt).
- **LONDYN**, samolotem, 4 noclegi w Londynie, każdej środy. (2300 Lt).
- **NORWEGIA** przez **SZWECJĘ**, autokarem, 8-dniowa, 3 noclegi w Norwegii, 2 - na promie, 1 dzień w Tallinnie. 10.10. (1400 Lt).
- **AUSTRIA**, autokarem, 7-dniowa, 4 noclegi w Austrii. 10.03. (800 Lt).
- **HIISZPANIA**, autokarem, 13-dniowa, 2 noclegi we Francji, 5 - w Hiszpanii. 10.20. (1680 Lt).
- **W końcu każdego tygodnia - do Francji i Szwecji po zakup samochodów.**

Wynajmujemy autokary i mikrobusy.

Dokumenty prosimy uprzejmie zgłaszać z 3 - tygodniowym wyprzedzeniem.

Chcesz zarobić - zgłoś się do „Znad Wilii”!

Jeśli masz czas, zastanów się nad naszą ofertą. Redakcja zatrudni kolporterów pisma. Jest to zajęcie nie do odrzucenia dla emerytów, okazja dla uczniów, szczególnie w okresie wakacji. Mile widziana współpraca z pracownikami organizacji społecznych i placówek kulturalnych.

Zwracać się:
tel. 417587, 224245.

Poszukujemy dystrybutora w Polsce

Redakcja „Znad Wilii” poszukuje dystrybutorów kolportażu na terenie Polski. Oferty prosimy kierować na adres redakcji:

Iłganytojo 2/4, 2001 Wilno

NIE TYLKO Z EKRANU TV

Telewizja Polska nadaje już ponad rok jeden z popularniejszych w USA seriali pt. „Przystanek Alaska”. Specyficzny klimat filmu spowodował powstanie widowni, która - o dziwo - poczuła potrzebę kontaktów, wymiany myśli. Zresztą nie tylko na tematy łączące się z serialem. Film jest tu bowiem jedynie pretekstem do spotkania się podobnych sobie dusz. Program II TVP, który emituje „Alaskę” w piątki około godziny 22.00, patronuje Nieformalnemu Stowarzyszeniu

przewodzący, stresy spowodowały śmierć żony. Wkrótce potem zmarła mu schorowana córka. Syn opuścił ojca. Skiba początkowo nie miał planie Roslyn. Ot, zatrzymał się w drodze. Jechał bowiem gdzieś dalej kupić hotel. Jednak kawiarnia, znana teraz z filmu, w której zatrzymał się tylko na moment, była do sprzedaży. Kupił ją...

Z samego filmu nie ma wielkich pieniędzy. Za filmowanie sztytu kawiarni dostaje 25 dola-

rów dziennie. Ale za to ruch w knajpie wzrósł tak, że musiał zatrudnić aż jedenastu pracowników. Codziennie

jada u niego obiad 150 osób. Do knajpy ściągają ludzie z całych Stanów, chcą ją zobaczyć z bliska, zjeść coś. Oczywiście, jest także coś dla ducha. Skiba sprzedaje stosowne kartki pocztowe, kalendarze ze zdjęciami kawiarni (po 1,5 dol.), czapki z wielbłądem (po 10 dol.), koszulki (po 15 dol.) i swetry (po 21,50 dol.). Rocznie idzie około 2 tysięcy koszulek. Obok kawiarni - stoisko z upominkami. Nad szafą grającą - zdjęcia gwiazd serialu.

- Bo wpadają w przerwie zdjęć na piwo - opowiada Piotr Skiba. - Ekipa przyjeżdża do Roslyn na trzy, cztery dni w miesiącu, o zdjęciach producent zawiadamia wszystkich faksem. Bo na filmowców czeka całe miasteczko.

Ekipa zostawia w tym stanie USA ponad 7 mln dolarów rocznie. Z tego około 400 tys. w Roslyn i pobliskim Cle Elum. Warto bowiem wiedzieć, że w niedalekiej odległości od Roslyn kręcono inny, nie mniej znany serial: „Twin Peaks”. Także w stolicy stanu, Seattle realizuje się niektóre obrazy filmowe.

Producent serialu „Notnern Exposure” (czyli „Przystanek Alaska”) przejechał wcześniej ponad 5 tys. kilometrów, aby wreszcie znaleźć takie cudo, jak Roslyn. Alaskę, czyli naturalny teren, odrzucono na wstępie ze względu na koszt i brak tam zaplecza technicznego. Robienie serialu w studiu odebrałoby jemu naturalność, dla której jest przecież tak lubiany.

Ponadto okazało się, iż miejscowscy prawnicy i ta wymyślona przez scenarzystę mają jednak wiele wspólnego, pomijając już nawet urok zewnętrzny. Na przykład kino mieści się w dawnym zakładzie pogrzebowym. Na cmentarzu zaś pochowani są założyciele osady: Serbowie, Chorwaci, Włosi i Polacy, no i współcześni jej obywatele.

Piotr Skiba komentuje to w ten sposób:

- U nas więcej ludzi na cmentarzu niż w mieście.

Skiba dzięki serialowi zmienił swoje życie. W Roslyn pewnie już zostanie na stałe. Z piąterka nad własnym lokalem przeniósł się do własnego domu, przed którym stoi białe mercedes rocznik 77. Ożenił się ponownie, ma już czworo dzieci. Powoli zapomina o kłopotach. I o dyplomie geologa Uniwersytetu Warszawskiego. Choć od czasu do czasu, może przez sentyment, a może dla atrakcji, serwuje swym klientom bigos. Obok indyka po chińsku.

**Eugeniusz Kurzawa
Roman Pawłowski**

TWÓJ PRZYSTANEK ALASKA

Polsce też znaleźli swój przystanek. Ciepło o nim opowiadają. A telewizja ciągle otrzymuje wiele listów od przystankowiczów.

W położonym na Mazurach Olecku pod koniec lipca odbyło się I Wakacyjne Spotkanie Sympatyków Serialu Przystanek Alaska. Inicjatywą wykazał się - zresztą przed kamerami, na oczach całego kraju - dyrektor Oleckiego Centrum Kultury. W programie „Przystanku Olecko” były działania artystyczne, radosne happeningi, wycieczki, spływ kajakowy, kto odważny mógł wziąć udział w szkole przetrwania. Organizatorzy zaplanowali też wydanie biuletynu i próby przełamania barier pokoleniowych pod hasłem „Ślad Alaski w Olecku”.

Amerykański serial, co pewnie nikogo nie zaskoczy, ma oczywiście polskie akcenty. Otóż właścicielem kawiarni, w której toczy się filmowa akcja „Przystanku” jest emigrant z Polski, Piotr Skiba. Z kraju wyjechał w roku 1974. Był wówczas geologiem. I jako geolog próbował szczęścia w USA. Przez piętnaście lat błąkał się w poszukiwaniu swego miejsca na ziemi. Głównie rzucało go po Zachodnim Wybrzeżu. Do Roslyn trafił w 1990 roku. Jest to góraska osada w stanie Waszyngton, położonym najdalej na północnym zachodzie Stanów Zjednoczonych, jeżeli oczywiście nie brać pod uwagę Alaski. Liczy sobie około 800 mieszkańców i o takiej liczbie mówi zresztą jeden z bohaterów filmów w którymś z odcinków.

Piotr Skiba przybył do Roslyn wiosną 1990, a w lipcu zjechała tam ekipa filmowa szukająca miejsca do nakręcenia serialu. Po obejrzeniu miasteczka okazało się, iż to jest to. W ciągu krótkiego czasu Roslyn zmieniło się w filmowe Cecyli, miasteczko na Alasce. Trzeba je było nieco podretuszować. Przywieziono więc ciężarówkami dużo śniegu. Potem elementy rzeczywistości indiańskiej. Senna osada górnicza zaczęła żyć. Niektórzy jego obywatele mieli nawet okazję wystąpić w serialu, jak na przykład fryzjer, który zagrał... samego siebie. Oczywiście, poza planem także strzyże i goli aktorów i męską część ekipy filmowej. Fryzjer miał swoje życiowe pięć minut, gdy po ostrzyżeniu jednego z bohaterów filmu powiedział: „zrobione”. Kasa wypłaciła mu za to 436 dolarów i dodatkowo 100 za wykorzystanie lokalu. Zwykły statysta-Indianin otrzymuje 50 dolarów za epizod. Zaś Rada Miejska - 100 za każdy dzień kręcenia.

Piotr Skiba, któremu wcześniej nie wiodło się zbyt dobrze, teraz nie narzeka. Liczne prze-

Pomnik Mieczysława Dordzika powróci na swe miejsce



Przechodnie nie kryli swego oburzenia z powodu zniszczenia pomnika...

Fot. Bronisława Kondratowicz

W nocy z 24 na 25 września zniszczony został pomnik Mieczysława Dordzika nad Wilenką. Pomnik został wzniesiony przez społeczność miasta dla upamiętnienia czynu chłopca, który zginął ratując dziecko żydowskie Chackiela Charmaca w wodach Wilenki w czasie pamiętnej powodzi 29 kwietnia 1931 roku.

Sprawczynią zniszczenia jest Natalia Laurviciene, która w stanie niecierpliwym ładą potraciła monument. Wyszła bez szwanku, natomiast rozwalila wążący około tony granitowy pomnik, jak też... granitowe ogrodzenie, tak jakby jechała czołgiem! MSW Litwy w swych komuni-

katach nie odnotowało tego wypadku, wilnianie nie wykluczają, że ktoś mógł „dopomóc” w dewastacji.

Pomnik był już wcześniej zagrożony, choć przetrwał ciężkie czasy wojny. Przed kilkunastu laty proponowano, aby go przenieść na Rosnę, ale wilnianie zaprotestowali, gdyż stał się ważnym zabytkiem tego zakątka nad Wilenką. Cieszy, że Dział Ochrony Zabytków Samorządu m. Wilna podjął decyzję odbudowania pomnika właśnie w tym miejscu.

T.B.

WARUNKI PRENUMERATY „ZNAD WILII”

Do 10 dnia każdego miesiąca w oddziałach pocztowych można zaabonować nasze pismo. Indeks 67248.

Prenumeratę w Polsce załatwia się poprzez wpłatę należności na konto dolarowe, ponieważ jako podmiot gospodarczy RL nie prowadzimy na terenie Polski działalności gospodarczej.

Bank PKO SA. VI Oddział w Warszawie;
Konto dolarowe Nr 501161-42112989-25107870.

Cena prenumeraty rocznej wynosi 30 USD.

PRENUMERATA PRZYJACIOŁ polega na finansowym wsparciu naszej inicjatywy wydawniczej przez Czytelników, którzy dokonują wpłaty przewyższającej cenę prenumeraty.

PRENUMERATA OFIARODAWCÓW (Fundusz im. Prezydenta E. Raczyńskiego) polega na finansowym wsparciu wysiłku „Znad Wilii” rodaków w Rosji, Ukrainie, Kazachstanie. Wszystkim Przyjaciółom i Ofiarodawcom z góry serdecznie dziękujemy.

Prenumeratę na Zachodzie załatwia się poprzez czeki personalne oraz money order, które można przesłać również pod adresem: c/o Neal Ascherson, account NR 70127116, Barclay's Bank, 146 City Road, London E.C.1, Great Britain, zawiadamiając jednocześnie o tym redakcję „Znad Wilii”, podobnie jak to prosimy czynić dla czytelników w Polsce:

2001 Vilnius, Iłganytojo 2/4, Lithuania
Cena roczna prenumeraty wynosi 88 USD lub 56 £.

Salon **ARKA** Muzyczny

Wszystko dla muzyków i miłośników muzyki:
Instrumenty muzyczne i audioaparatura

Reprezentowane są firmy:

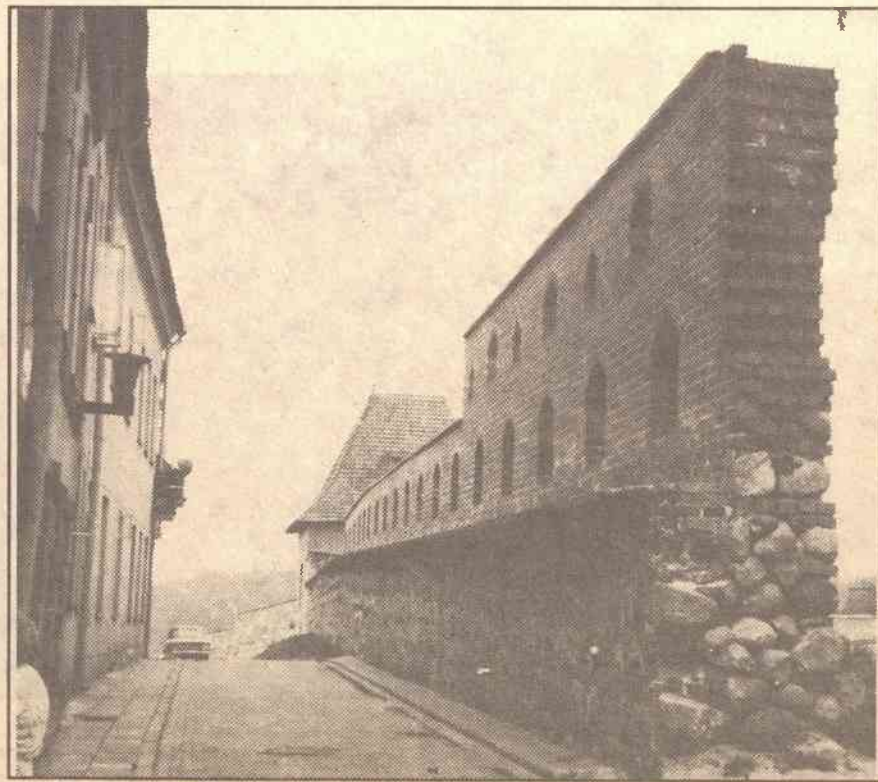
"Aleksis", "Dod", "Digitech", "Ensoniq", "Hohner", "Shaller", "D'Addario", "Celestion", "Carlsbro", "Mackie", "A & T Trade" i in.

Przyjmujemy do sprzedaży instrumenty używane.
Aušros Vartų 7, Wilno, tel. 22-11-85

Polskie Studio Dokumentalistyki w Wilnie
proponuje swe usługi
w filmowaniu.
Na sprzęcie wysokiej klasy
utrwalamy
uroczystości, wykonujemy
tematyczne zlecenia.
Tel. 22 42 45, 47 53 98.

8

ZNAD WILII
1994.10.03



Fragment Barbakanu Wileńskiego.

Fot. Bronisława Kondratowicz